Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści
ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V — *Niedziela, dnia 17 października 1937 r.* — Nr. 42

PIOSENKA



Z pól rosą uperlonych,
z daleka — hen — tak cicho,
że ledwie słyszysz tony,
.piosenki biegnie echo.
Głos zwolna, takt po takcie
się zmaga, potężnieje
i drży w nim cicha skarga
i miłość, co goreje.
W sercu spragnionym szczęścia,
kochania i radości,
w sercu nienasyconym,
w którym znów smutek gości.

I to, co przyjść powinno
w tęsknym oczekiwaniu
i krew, tętniąca w żyłach,
gorąca w pożądaniu.
I wina moc upojna,
potoku szmer srebrzysty,
słowika zwodne trele
i śmiech dziweczęcia czysty.
Piosenką w krąg rozbrzmiewa,
co wszystko w sobie mieści,
kaskadą śmiechu bije
i ludzką dolę wieści.

To czasem śpiew łabędzia,
puszczyka nocne łkanie,
to dzikich gęsi .krzyki,
lub wiatru w lesie granie.
...Piosenka ...urok ...ukochanie.

Tomaszewski Bolesław.

MARIA REUTT

10)

Ktoś ty?

Powieść o burzach życia

żaleniu na siostrę na dobre. O, Andrzej przeżył wielką tragedię sercową. Miał narzeczoną, córkę ziemiańską, jedynaczkę z Wołynia: na dwa tygodnie przed ślubem napadła na wieś banda bolszewicka pod przewodnictwem komisarza, pisarza gminnego z tej samej wsi, zamordowała matkę z córką, a dwór spaliła. Gdy Andrzej w przebraniu żebraka przekradł się do Matwiejówki, dowiedział się od fornali dworskich, że matkę jej czerń po prostu rozerwała w kawałki, a Anię zadusił sam komisarz.

„Nie broń się, a to zaduszę jak tamtą...“ — zadźwięczały tu Dance w uszach natrętnym przypomnieniem słowa Pietrowa.

A pani Ciemierzewska ciągnęła dalej:

— Rok włóczył się po Rosji w pościgu za mordercą, lecz wrócił z niczym... Rozpaczał z początku szalenie... Obecnie uspokoił się i mieliśmy nadzieję, że może uda nam się ożenić go z Ludką i gdyby nie ten Moskal! Zawrócił jej głowę, a z tego na pewno nic nie będzie... Gdy tymczasem taki Andrzej! A podobała mu się — wszyscy to zauważyli, że był zazdrosny o hrabiego...

Danka przyznawała w duszy, że Ludka była bardzo niemądra, przenosząc hrabiego nad Andrzeja. Ale głośno tego wypowiedzieć nie mogła bez obawy narażenia się pani Ciemierzewskiej: sama ona mogła wyrzekać, a nawet wymyślać na siostrę, ale gdyby obca robiła to samo, mogłaby się jednak czuć obrażoną.

Po wyjeździe Ludki cisza zapanowała we dworze, tym więcej, żę i student pożegnał się z gościnnym domem Ciemierzewskich. Musiał wracać na wykłady i do przerwanych korepetycyj, do walki o chleb.

Pan Andrzej zjawiał się rzadko, siedział krótko, małomówny, jakby zatroskany.

KRUK BURZY

Hrabia Bagrowcew również omijał Ciemierzewo. Czasami z daleka, z ogrodu, dziewczynki obserwowały czerwony „Fiat“, migający jaskrawą plamą na tle szarych ugorów i ściernisk. Pędził przed siebie, omijając stojący z boku dwór.

Gościnny dwór ciemierzewski jakby stracił urok i magnes przyciągający.

Pogoda popsuła się już także. Po prostu jesień obejmowała panowanie. Coraz częściej padały deszcze, coraz rzadziej świeciło słońce. Odleciały bociany, opustoszały gniazda jaskółcze, zamierały powoli lasy i ogrody.

W tym czasie, jakby na czyjś rozkaz z góry, zaczęła się seria strajków. Wybuchały one sporadycznie to w tym, to w innym miejscu. To stawały koleje, to tramwaje, to znów ta lub owa fabryka, to porzucano pracę w gazowniach, elektrowniach, to znowu dozorcy domowi, dorożkarze, kominiarze... Zgodnie, zwarcie, planowo strajkowali robotnicy rolni i służba folwarczna.



Stacjonowani w Szanghaju żołnierze angielscy przy zasłonach z worków piaskowych na pogawędce z miłymi Europejkami.

Jednocześnie pojawiły się odezwy komunistyczne, rozrzucane niewidzialną ręką po wsiach i miastach. Gmina znajdowała je w torbach pocztowych, do chat przemycali je dziady proszalne, na jarmarkach wtykali w ręce kmieciom jacyś nieznani osobnicy, kręcący się wśród tłumu. Zjawiali się jakby z pod ziemi i znikali niezauważeni.

Burzliwy powiew szedł po ziemi polskiej dawnego rosyjskiego i austriackiego zaboru, budząc w duszach ciemnych mas, w ciałach wygłodniałych przez niedolę lat wojny i poniewierki, chciwość, zazdrość i niepokój.

Wiew ten dosięgnął i Ciemierzewa. W samym Ciemierzewie chłopi wypasali łąki, a zajmowanego bydła nie chcieli wykupywać, pewni, że im oddadzą je i tak. To wszystko nasze — twierdzili uparcie. Rzucili się na gajowego.

U hrabiego Bagrowcewa działo się jeszcze gorzej. Tam służba folwarczna w biały dzień ogołociła drzewa z owoców i brała jarzyny z ogrodu, nie pytając się o pozwolenie, ani nie usprawiedliwiając się.

— Teraz nasze tu panowanie nadchodzi — odpowiadali hardo.

Hrabia przyjechał do Ciemierzewa bardzo strapiony.

— Co mam robić?! — skarżył się, rozkładając bezradnie ręce. — Wezmę policję, to przez zemstę mogą mi spalić cały folwark i dwór i mnie samego zdradziecko napaść i zabić.

Był przy tym i Andrzej.

Siedział z brwią zmarszczoną, palił papierosa za papierosem i słuchał w milczeniu.

— Uciekłem z piekła bolszewickiego, a widzę, że ono i tu się zbliża, — ciągnął nerwowo hrabia.

Andrzej poruszył się niespokojnie i wyjął papierosa z ust.

— Polacy, to nie Moskale — rzucił ostro. — Rząd się postara, żeby odnaleźć winnych podżegania i ukarać odpowiednio...

— Ach, ja też, broń Boże, nie przepowiadam... Tylko, że jak się żyło w Bolszewii, to człowiek bezwiednie przejaskrawia fakty i zbyt czarno patrzy na świat. To nerwy... — tłumaczył się Bagrowcew.

— Rozumiemy — potakiwali oboje gospodarze, przejęci i zaniepokojeni o swój i ogółu los. — My sami obawiamy się czegoś poważniejszego, wrazie gdyby rząd nie zdołał ukrócić tych nastrojów.

POD CZAREM MUZYKI

Danka milczała przez cały czas rozmowy.

Pani Ciemierzewska wymagała, aby ona w chwilach wolnych od zajęć brała udział w życiu towarzyskim dworu. — Traktujemy panią jak swoją, musi pani starać się zżyć z nami i naszymi przyjaciółmi.

Dzieci dawno już spały, więc została po kolacji w salonie. Siedziała wsunięta w fotel, cokolwiek oddalona od towarzystwa i światła i słuchała rozmowy, co brzmiała w jej uszach, jak echo grzmotu dalekiej burzy.

Słowa hrabiego przejęły ją panicznym strachem. Ujrzała oczami duszy popalone dwory, kościoły, cerkwie, fabryki, zakłady, zgliszcza, pola leżące odłogiem, masy głodne i obdarte, snujące się po ulicach i polach wysuwające się z mroku nocy, cienie hjen ludzkich i głodnych psów w pogoni za zdobyczą.

Porównała ten obraz ze spokojnym dobrobytem wsi polskiej, z dymami kominów fabrycznych, z ruchliwością miast i miasteczek i wzdrygnęła się.

— Potworne porównanie, prawda! — zwrócił się do niej Andrzej po przez odległość pokoju.

— Okropne — wyznała, nie zdziwiona nawet, iż odgadł jej myśli, a on ciągnął dalej:

— Hrabia tak nam nakrakał, żeby odegrać ten ponury, pesymistyczny nastrój, niech nam pani coś zagra.

Zaczerwieniła się.

— Kiedy... bo ja... — wymawiała się.

— Niech pani nas nie naciąga na komplementy, bo słyszałem raz jak pani grała dziewczynkom.

— Panno Danko, prosimy — poparł go pan domu.

Hrabiemu błysnęły oczy, poprawił się w fotelu.

Wobec życzenia pana domu, usiadła bez dalszego ociągania się przy pianinie.

— Co mam zagrać! — zwróciła się do Andrzeja z mimowolnie zalotnym uśmiechem.

— Coś wesołego lub lekkiego, z „Carmen“, „Nitouche“...

— A mnie, panno Danko, coś z nowych przebojów — prosił pan Ciemierzewski.

— Jak człowiek siedzi na wsi, to lubi się chociaż słuchem odświeżyć. Moja Halka to za operami się trzęsie. Bywało, jedziemy do Warszawy — namawiam ją na „Miraż“, „Czarnego Kota“ a ona nie, chodźmy na „Zamarłe oczy“...

— A pan hrabia? — zwróciła się Danka do gościa, przybierając bezwiednie wyniosłą minę.

— Mnie wszystko jedno: kocham muzykę w każdej formie, byleby tylko była dobrze oddana.

Uderzyła w klawisze. Pod jej lekkim dotknięciem posypały się nuty jak perły w krysztale.

Grała urywki oper, coraz to innych, to znów piosenki kabaretowe. Zakończyła nokturnem Szopena.

Ostatni akord stał się hasłem do rozejścia. Wstali wszyscy.

Danka, żegnając się z hrabią zauważyła, że był bardzo blady. Oszpecony szramą policzek drgał nerwowo, oczy błyszczały.

I znów te oczy zaniepokoiły Dankę.

ZNOWU WIDMA

W nocy przyśnił jej się Bagrowcew. Szedł ku niej groźny, ze zmarszczoną brwią i wykrzywionymi ustami. Twarz jego zmieniła się nagle i ujrzała przed sobą nie hrabiego, lecz komisarza Pietrowa.

Wyciągnął ku niej ręce o zakrzywionych palcach, jakby ją chciał schwycić. W uszach zasyczał jej znany, gardlany, nienawistny głos:

„Mówiłem ci, że jesteś moją na zawsze. Nie skryjesz się przede mną nigdzie“.

Zerwała się z krzykiem — wzywała pomocy szofera-wybawcy. On jeden był w możności obronić ją i wyratować...

Pokój zalewały ciemności. W głębokiej ciszy nocnej nie było słychać ani szmerów, ani kroków, nic, prócz bicia jej własnego serca.

Położyła się z powrotem, drżąca i wylękniona.

— Dzięki ci Boże, że to tylko sen.

Uspokoiła się, lecz już usnąć nie mogła. Leżała długie godziny z otwartymi oczyma, wsłuchując się w ciszę. Wszystkie wspomnienia pobytu w Bolszewii poruszyły się na nowo w jej pamięci i żywe, groźne i bolesne, jak wówczas, przesuwały się przed jej oczami.

Nagle serce, trochę uciszone, zadrżało znowu przed myślą, która zrodziła się w jej mózgu.

— A może hrabia to rzeczywiście komisarz Pietrow? On do wszystkiego jest zdolny. Jak diabeł może zmieniać swą postać według okoliczności i potrzeby...

Po pierwszym jednak przestrachu przyszło uspokojenie. Zirytowała się:

— Widocznie dostaję bzika na punkcie Pietrowa.

Postanowiła usnąć. Zamknęła oczy i liczyła do stu. Usnęła dopiero nad ranem, gdy koguty piały swój codzienny hymn do wschodzącego słońca.

— — — — — —

Hrabia w tym czasie nie spał.

Zaraz po przyjeździe z Ciemierzewa, kazał przywołać do siebie sekretarza.

— Nie ma go w domu — oświadczył kozak z domyślnym uśmiechem na szerokich ustach — jest u nauczycielki.

Hrabia wzruszył gniewnie ramionami.

— Wybrał porę... — mruknął, a głośno rzucił rozkaz: — Jak tylko przyjdzie zawołać go zaraz do mnie. A teraz zapal lampę w saloniku.

Zostawszy sam, chodził przez czas jakiś po gabinecie z rękami w kieszeni, gwiżdżąc przez zęby jakąś tęskną małoruską melodię.

Gdy po przez portierę zaczęło sączyć się różowe światło, wszedł do saloniku. Usiadł przy pianinie i po przytulnym, o miękkich, wygodnych mebelkach, pokoiku, rozległy się dźwięki, zabrzmiały, dźwięczały i zlały się w melodię „Oczy czarne“... by przejść stopniowo na tony „nie odchodź, zostań ze mną“...

Z trzaskiem opuścił wieko na klawisze, urwawszy w połowie ulubioną melodię, która mieściła w sobie tyle dla niego wspomnień, i przeszedł znów do gabinetu.

Zagłębiony w wygodny, głęboki, skórą kryty, fotel, przeglądał leniwie stos gazet, przygotowanych na stoliczku obok i ołówkiem zakreślał w nich niektóre wiadomości.

Dobrze już po północy wsunął się do pokoju sekretarz.

— Długie pan urządza konkury... — przywitał go wymówką.

— Nie mogłem uwolnić się wcześniej, panie hrabio.

— Cóż, tak było wesoło? — raczył się rozpogodzić chlebodawca, zapalając papierosa.

— Dosyć dużo zebrało się osób. Syn organisty, sołtys, nauczyciel z sąsiedniej wsi, syn wójta, dwóch gospodarzy ze wsi, leśnik z Carowki, ekonom ze Szczaworów i dwie czy trzy koleżanki - nauczycielki z okolicznych wsi.

— Słowem zabawa udała się panu...

— Zupełnie, panie hrabio.

Hrabia podsunął mu plik gazet.

— Niech pan przejrzy te artykuły i opracuje z nich wyciąg na jutro, bo pojutrze pojedzie pan samochodem do Kłobucka. Może pan zaproponować spacer swej przyjaciółce, tej wdowie z córką, co mieszka pod lasem.

— Dziękuję panu hrabiemu, spróbuję ją namówić.

Gdy sekretarz odszedł, hrabia długo jeszcze chodził po pokoju, zatrzymując się od czasu do czasu przy biurku, na którym w podręcznym notesie kreślił jakieś cyfry.

Twarz miał przy tym pochmurną i pełną skupionego namysłu, jakby obliczał jakieś ważne przedsięwzięcia.

ZAWIKŁANA GRA

Nie spał tej nocy długo i pan Andrzej. Również mierzył gabinet wzdłuż i wszerz, lub zatrzymywał się przy biurku, na którym piętrzyły się stosy druków różnego rozmiaru i koloru.

— Jak oni je przewożą, którędy i skąd? — biedził się.

Świtało prawie, gdy kładł się do łóżka.

Nazajutrz rano zawołał do siebie szofera:

— No co? — rzucił mu niecierpliwie pytanie.

— Ogrodnika im potrzeba do pomocy, no i lokajczyk Jan czegoś nie domaga, chce dziękować za służbę.

— Przygotujesz samochód, jedziemy za godzinę do Warszawy.

* * *

Na szosie częstochowskiej minął go samochód hrabiego, dążący w tę samą stronę.

— Wolniej! — zawołał do szofera, Spójrz na zegarek.

Gdy limuzyna zniknęła mu z oczu, zastukał znów do szofera:

— Zawracaj do stacji, tylko szybko, bo za pięć minut przychodzi pociąg.

Maszyna ruszyła jak wicher i przyjechała na stację równo z pociągiem.

— Pamiętaj, dla dworu i służby jestem cały dzień w Szczaworach — a o godzinie 11 wieczorem wyjedziesz po mnie do pociągu.



Chinki również chwyciły za broń, by bronić ojczyzny przed Japończykami.

— Cóż tak wróciłeś zaraz? — zapytał szofera ze zdziwieniem stajenny, zobaczywszy samochód przy wozowni.

— Dziedzic coś sobie w drodze przypomniał i kazał zawrócić do Szczaworów. Może zatęsknił bardzo za młodszą panienką — domyślał się szofer.

— To nie pojechał do Warszawy? — zaniepokoił się czegoś chłopak Józkiem zwany, znajda, chowany z łaski od dzieciństwa przez litościwą gospodynię.

— A nie... przecież ci mówię, że zawrócił do Szczaworów.

Józek drapał się ze zdziwienia w głowę.

* * *

Hrabia, przybywszy do Warszawy, zatelefonował do Ludki. Siedziała właśnie nad kolumnami cyfr, znużona.

„Wstrętne to życie — myślała zniechęcona, machinalnie kręcąc maszynkę do liczenia.

— Panna Nidecka do telefonu — dobiegło ją wołanie.

Skoczyła z miejsca, pochmurna jej twarz rozjaśniła się, przeistoczyła, wyładniała. Telefon — zwiastun jakiejś niespodzianki, miłe przerwanie nudów.

Prawdopodobnie Halka wpadła do Warszawy — przypuszczała, biorąc słuchawkę do ręki.
panią.

— Halo, czy to panna Lutka — zabrzmiał w aparacie niski męski głos, tak bardzo jej znany.

Na dźwięk jego o mało nie wypuściła słuchawki z ręki.

— Tak, to ja, hrabio...

— Doskonale! Bałem się, że może pani nie odnajdę.

— Rano jestem zawsze w biurze.

— Czy mogłaby pani dziś zjeść ze mną obiad w „Cristalu“?

Twarz jej od razu się rozpogodziła myślą o rozrywce.

— O której?

— O której pani naznaczy...

— O pierwszej wobec tego — głos jej drżał radośnie.

— Więc do pierwszej... zajadę po panią.

— Dowidzenia.

Wracała od telefonu lekkim, tanecznym krokiem. Znużenie i znudzenie znikło, twarz zakwitła rumieńcem, oczy błyszczały.

Wszyscy na sali zauważyli w niej tę zmianę.

— Coś miłego panią spotkało — zaczepiła ją jedna z koleżanek.

W odpowiedzi uśmiechnęła się tylko.

— Bardzo — potwierdziła.

— A może to było nie „coś“ lecz „ktoś“ — poprawiła druga.

— Ma pani rację, „ktoś“ — przyznała się.

— Panno Ludko, kto taki? — posypały się pytania z różnych miejsc z sali.

W pierwszym odruchu radości chciała im odkrzyknąć: „mój narzeczony“, bo za takiego uważała już Bagrowcewa w myśli — zatrzymała się jednak w pół słowa. Niestety, nic jej dotąd jeszcze nie powiedział takiego, coby ją upoważniało do nazwania go tak przed ludźmi. Odpowiedziała możliwie najobojętniej:

— Dobry mój znajomy, hrabia, sąsiad mej siostry na wsi.

— Hrabia — westchnęły zazdrośnie prawie wszystkie pracowniczki młode i stare, ładne i nieurodziwe.

— A czy młody? — dopytywały się zaciekawione.

— Młody, przystojny i bogaty — z dumą padały jej z ust słowa odpowiedzi.

— ...i bardzo miły — doszeptała sobie w myśli. — Pójdę z nim do „Cristalu“ na obiad — pochwaliła się.

Zazdrosne: „Ooooo!“ — z sześciu ust przyjęło to oświadczenie.

POD MASKĄ SERCA

Punktualnie o pierwszej czekał na nią hrabia w samochodzie; na siedzeniu obok niego leżało pudło cukierków.

Kilkanaście par zazdrosnych oczu śledziło ich z wysokości pierwszego piętra.

Przywitał ją uściskiem ręki mocnym i znaczącym i położył jej czekoladki na kolanach.

— Cieszę się, że panią widzę — rzekł, spoglądając jej w oczy.

Tyle było wyrazu w tych szaro niebieskich oczach, tyle uczucia w spojrzeniu, że Ludka spuściła powieki, spłoszona tym wyrazem.

— Jedyny... kochany... — roztkliwiało się w niej serce.

Obiad był wspaniały. Przy kawie i likierach nachylił się ku niej tak blisko, iż prawie czołem dotykał jej włosów. Siedzieli odosobnieni przy oknie, w rogu pokoju.

— Panno Ludko, pozwoliłem sobie na jedną niedelikatność.

Spojrzała na niego zaskoczona.

— Nie wiedząc, gdzie będę, bo mam mało czasu, a dużo do załatwienia, poleciłem, żeby paczkę z drogerii dla mnie przesłano pod pani adresem. Po obiedzie więc zawiozę panią do jej mieszkania, wstąpię po tę paczkę, a stamtąd odstawię panią do biura... Nie gniewa się pani? — głos drżał mu lekko niepokojem.

Czy ona się gniewa?! Twarz jej zapłonęła łuną rumieńca, na usta wykwitł uśmiech czarujący.

— Uważam to za bagatelkę i cieszę się, że taką drobnostką mogę się panu przysłużyć.

Pocałował ją w rękę długim, pieszczącym pocałunkiem. Zdawało się dziewczynie, że słowo „kocham“ drży mu na ustach, że wirbuje już między nimi, a mimo to nie padło ono, nie zerwało mu się z gorących warg.

Paczka, którą zastała w swoim pokoju, zaadresowana na jej imię i nazwisko, wydała jej się dziwnie ciężką, gdy znosiła ją po schodach na dół. Hrabia odebrał ją skwapliwie, włożył niedbale do samochodu, wsuwając w kąt pod siedzenie. Troskliwie podsadził ją do samochodu, nogi okrył derką, długą chwilę patrzył jej w oczy, ściskając za ręce.

— Przyjedzie pani na święta — prawda? — pytał gorącym szeptem.

Przytaknęła.

— Zobaczymy się przedtem, bo w międzyczasie zapewno będę nie raz w Warszawie.

Jeden więcej uścisk dłoni, jedno jeszcze spojrzenie, mówiące tak dużo i samochód stał przed biurem. Ruszył stamtąd, gdy Ludka wysiadła, odprowadzony zazdrosnymi spojrzeniami koleżanek biurowych dziewczyny.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

WOJCIECH HOLM

52)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Naprzód była zaręczona z synem pani, a teraz znowu ma innego kochanka. Ona jeszcze daleko może zajść. Gratuluję pani! Z ironicznego uśmiechu i szyderczego tonu, którym wymawiała kilkakrotnie imię Idy, domyślił się markiz mniej więcej słów.

— Panno Spiller! — rzekł dumnie — nie ma na świecie osoby, którąbym cenił tak wysoko, jak pannę Idę. Za wyjaśnienie co do jej pochodzenia jestem pani bardzo wdzięczny, ale jeżeli pani nie przestanie obrażać osoby, która mi tak jest drogą, nie ręczę za nic. Niech pani nie zapomina, że i kobiety można pociągnąć do odpowiedzialności za to, co mówią.

Cyla zarumieniła się po uszy.

Byłaby się w ziemię chętnie zapadła ze wstydu i gniewu, że tak bardzo chybiła celu.

Była zła na siebie, że postąpiła tak nieostrożnie.

Powinna była udawać, że żałuje Idy, zalewać się łzami i w ten sposób byłaby sobie zyskała sympatię markiza.

Z drugiej strony, skoro nie zostanie markizową de Lorme, to postąpiła bardzo głupio, że zlekceważyła matkę Teobalda.

— Co on ci powiedział? — zapytała ją pani Hai, paląc się z ciekawości.

— Pytał mnie o rodziców Idy — odpowiedziała Cyla.

— A ty coś na to odpowiedziała — spytały równocześnie Haiowa i Spillerowa.

— Powiedziałam, że jestem za młoda, żebym mogła wiedzieć coś o nich! — kłamała Cyla bezczelnie.

— Naprawdę? — pytała pani Hai.

— Ależ z pewnością! — kłamała dalej Cyla nieznacznie mrugnąwszy na matkę — ja sobie naprawdę nie przypominam jej rodziców.

Spillerowa, szczwana intrygantka, zrozumiała się na grze chytrej córeczki i postanowiła udawać przed przyjaciółką, że sama zapomniała już o tych, tak dawnych dziejach.

— I ja sama już nie mam pojęcia o tym, kto byli rodzice Idy — rzekła głośno — niejasno tylko przypomniała sobie, że jej matka była francuską. Rzeczywiście, kochana Selmo, gdybym nie wiedziała, że ty jesteś tak bogobojną niewiastą, przypuszczałabym, że to jakiś twój własny grzech młodości.

Nadała sobie ton taki szczery, że Haiowa była całkiem uspokojona.

— Kochana Agato — rzekła ucieszona w duchu — żartujesz sobie ze mnie. Ale muszę teraz poszukać kluczyka, żeby markizowi już dłużej nie przeszkadzać.

Uklękła obok kanapy i zaczęła szukać kluczyka, który miała dobrze schowany w kieszeni.

— Co panie zgubiły? — zapytał markiz uprzejmie — czy mam pani pomóc szukać?

— Niech się pan nie trudzi — odpowiedziała Cyla, ona kłamie jak najęta. Teraz udaje, że zgubiła kluczyk. Niech jej pan nigdy nie wierzy, bo słowo prawdy z jej ust nie wychodzi.

— A jednak panie udajecie, że jej wierzycie — rzekł na to markiz tonem wyraźnej nagany.

— Mój Boże! — odpowiedziała Cyla śmiejąc się — nie mogę jej przecie powiedzieć w oczy, że kłamie.

Markiz myślał o tym, że wśród takich ludzi Ida musiała się obracać i to go bolało, a równocześnie uświadomił sobie tym silniej, że to wszystko, co mu tu chciano mówić o jego Idzie, również jest oszczerstwem, jak to od razu odczuł.

— Musiałam go zgubić na ulicy — rzekła pani Hai, niemiłym dyszkantem — daruj, kochana Agato, żem cię tak późno zbudziła.

Po jej odejściu wszedł służący markiza.

— Proszę pana markiza — rzekł — ta stara w kuchni opowiadała mi różne rzeczy o Haiach. Ta panienka u aptekarzy żyła jak w niewoli.

Uciekła od nich, bo oni ją chcieli zmusić, żeby wyszła za syna aptekarza, a ona go nienawidziła. Stara zamykała panienkę, jak zakonnicę w klasztorze.

— A nie opowiadała ci — zapytał de Lorme — że widziała ją w eleganckich saniach jadący na spacer z jakmś młodym panem?

— Mówiła mi Dora — opowiadał sługa — że panna Cyla wróciła dziś rano do domu z miasta bardzo zirytowana, że widziała pannę Idę w saniach, i że gdzieś przejechała koło niej.

Na to pani Spiller powiedziała: Może ona gdzie dostała miejsce przy dzieciach? Ale panna Cyla na to odpowiedziała, że w takim razie byłaby jechała z dziećmi, a w saniach była tylko ona i furman.

Markiz pamiętał najwyraźniej, że Cyla opowiadała, iż tam był jeszcze jakiś młody pan i lokaj. A więc skłamała.

— Wiesz z pewnością? — zapytał markiz uradowany, bo choć wierzył w jej niewinność, to jednak mógł przypuszczać, że ona jest szczęśliwą narzeczoną jakiegoś nieznanego rywala.

— Tak jest, odpowiedział Jan — ja Dorze pomagałem czyścić srebro, a ona mi wszystko jak najdokładniej opowiedziała.

Ciężar spadł z serca markizowi. Cieszył się też, że wziął sobie do służby starego Jana, który mu rozproszył niepewność. Była to nagroda za jego dobry uczynek spełniony na tym staruszku.

Markiz spodziewał się też, że ten sprytny człowiek bardzo mu będzie pomocny w odnalezieniu Idy i udał się na spoczynek pełen różowych nadziei.

Jan pomógł mu się rozebrać i wnet markiz spał spokojnym snem ludzi, którzy mają czyste sumienie.

ROZDZIAŁ CCIII

Błogosławieństwo rodziców

Sylwia jechała z matką do Petershagen. Obawiała się, żeby dopiero odzyskanej córce na dalekiej drodze do Ameryki znowu nie stało się jakie nieszczęście i robiła jeszcze słabe usiłowania, żeby ją skłonić do zaniechania zamiaru.

Ale Sylwia pozostała stanowczo przy swoich planach, ufając Bogu i swemu rozsądkowi.

Chodziło jeszcze o pieniądze.

— Mam wprawdzie trochę — mówiła staruszka, bo mi w ostatnich czasach z różnych stron przysyłają, ale to ci nie wystarczy.

— Ale moje pieniądze wystarczą — wtrącił się do rozmowy Mojżesz.

— Ale my nie możemy przyjąć tego — odrzekła pani Herbert — żeby się pan pozbawiał ciężko zapracowanego grosza.

— Ja się nie pozbawiam — śmiał się Żyd — jak panna Sylwia będzie hrabiną Wildenstein, to ja to dostanę z procentem.

— Kto wie, czy będzie — rzekła ze smutkiem staruszka — hrabia Werner może już nie żyje?

— On żyje, mamo! — zaprotestowała gorąco Sylwia — ja to czuję, że on żyje i że ja go uwolnię.

— Amen! amen! — dodał stary Żyd — a zresztą — rzekł po chwili poważnie — proszę pani, ja mam sześćdziesiąt pięć lat. W całym moim życiu nie miałem słonecznej chwili, nie pozwalałem sobie na żaden zbytek, na żaden luksus. Ten tutaj będzie pierwszy w życiu promień słońca. Ja nie umrę z głodu bez tego tysiąca, mogę jeszcze pracować, chwała Bogu, więc nie odmawiajcie mi panie tej przyjemności.

— Dziękuję wam! — odpowiedziała Sylwia wzruszona — nie zapomnę wam nigdy tej przysługi, którą muszę przyjąć, gdyż zgrzeszyłabym wobec narzeczonego i ojca i Bóg wam zapłać!

Stanęli przed więzieniem.

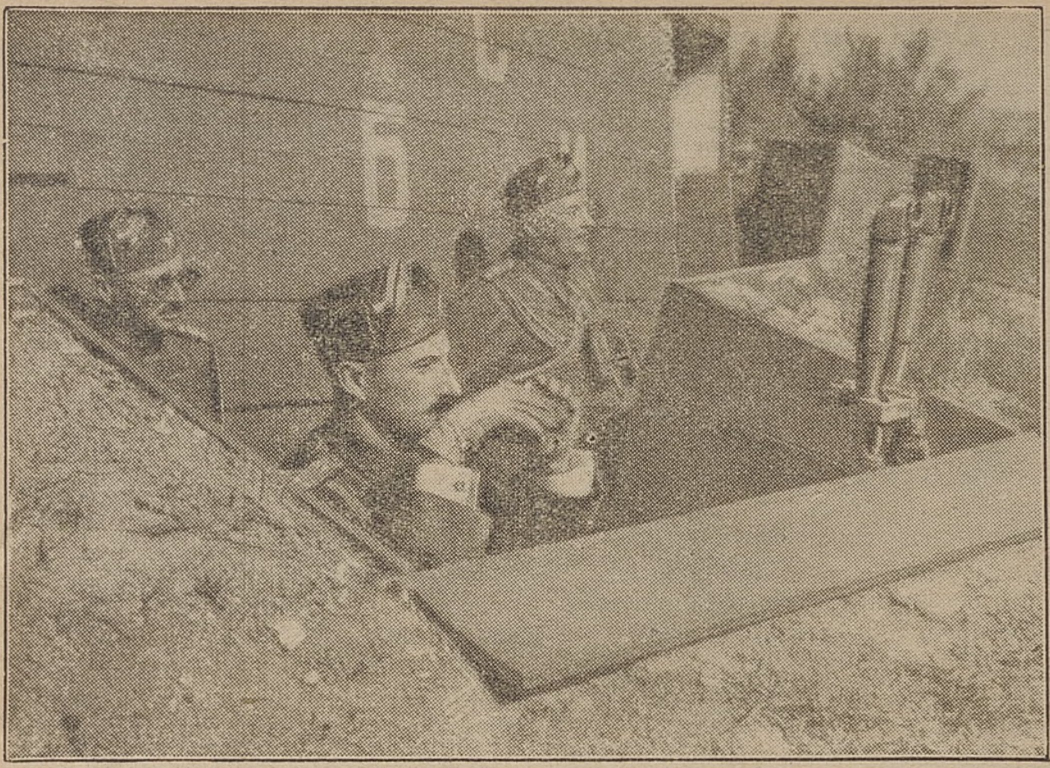
Mojżesz rozmawiał przez pewien czas z dozorcą, którego niechętny wyraz twarzy powoli ustępował.

— Jeżeli jedzie przez morze i tylko na pięć minut chce, żeby się pożegnać — rzekł — to dobrze — ale muszę panu inspektorowi...

— Potem pan powie! przekonywał Mojżesz, — na kilka chwil nie opłaca się nawet.

— No, to niech panie wejdą! — zgodził się dozorca — ale proszę pamiętać: nie dłużej, jak pięć minut!

Długi, ponury korytarz więzienny — a w nim cela, w której stary Herbert — osiwiały w uczciwości — teraz jest sromotnie więziony.



W Bułgarii odbyły się również manewry jesienne. Na zdjęciu król Borys obserwujący przebieg manewrów.

Sylwia i Herbertowa płakały.

Niebawem otworzyły się drzwi żelazne i Sylwia znalazła się w ramionach ojca.

— Dzięki ci Boże! — mówił Herbert drżącymi usty — że przynajmniej tą jedną łaską mi ulżyłeś.

Nie wiedział o tym, że Sylwia wróciła, bo mu w ogóle nie powiedziano — że żona i córka kilka razy już bezskutecznie starały się o dostęp do niego.

Sylwia opowiedziała mu wszystko, co się z nią działo od czasu, gdy zwabiona rzekomym listem Wernera wyjechała do Wiednia.

— Teraz, kochany ojcze — zakończyła —będzie celem mego życia ciebie i Wernera uwolnić. Baron, to nasz zły duch! to on winien całemu naszemu nieszczęściu! Oplótł nas jak pająk siecią intryg, ale ja sieć tę podrę! Nieszczęścia nasze zaczęły się tajemniczym zniknięciem Wernera. Jeżeli mi się uda odnaleźć go i dowieźć, że baron potajemnie go więził, wtedy cała nasza niedola się skończy! Wtedy baron zdemaskowany będzie jako intrygant i nikt oskarżeniom jego nie będzie wierzył. Może nawet wtedy ludzie, którzy się teraz obawiają, powstaną z oskarżeniem przeciwko niemu! Ja jestem pewna, że baron sam kogoś namówił, żeby podpalił leśniczówkę, myślałabym nawet, że sam podpalił, gdybym nie wiedziała, że jest taki tchórz.

— I ja jestem twego zdania, kochane dziecko — rzekł Herbert — ale czy zdajesz sobie też sprawę z tego jak wielkie niebezpieczeństwa czekają cię w drodze? Jesteś młoda i niedoświadczona, piękna i bezbronna, jak łatwo można cię będzie oszukać, zawieść twoje zaufanie! Pomyśl tylko, że między obcymi trudniej o pomoc! Jeżeli cię tam spotka coś złego?...

— Bóg mnie ochroni, ojcze — rzekła Sylwia i padłszy na kolana prosiła:

— Pobłogosław mnie ojcze! Twoje błogosławieństwo będzie dla mnie talizmanem.

Była to wzruszająca scena, gdy Herbert rękę okrytą ranami pochodzącymi z pożaru, położył na jasnej główce przybranej córki.

Tymczasem Mozes na korytarzu spierał się z dozorcą więziennym o uzyskanie zwłoki. Dozorca kilka razy chciał już wejść do celi i przynaglić panie do pośpiechu, ale zawsze go powstrzymywał.

— Ładnych pięć minut — gniewał się dozorca — to już prawie godzina.

— Ta co tam — uspakajał Mozes — co to komu szkodzi! Nie! oni sobie mają dużo do powiedzenia, te biedaki. A to jeszcze nie ma kwadransu, jak one tam poszły. Co można powiedzieć za mały kwadrans. Niech pan nic nie mówi, panie dozorco! Pan ma zanadto dobre serce, żeby im przerwać te jedną chwilę przyjemną w ich całym nieszczęściu.

Słowa te poparł uściśnieniem dłoni dozorcy, co wywołało cudowny efekt u dozorcy, który wnet potem wsadził rękę do kieszeni, gdzie coś zadzwoniło, jakby pieniądze.

Po chwili jednak nalegał znowu i to stanowczo, żeby już panie wyszły z celi.

Otworzył drzwi i rzekł:

— No, już dość proszę pań, nie zechcecie, żebym ja za moją grzeczność stracił służbę! Ja mam żonę i dzieci.

Ze łzami w oczach rozstała się Sylwia i matka jej z więziennym starcem.

— Co panie teraz zamierzają robić? — zapytał Mozes.

— Ja muszę pójść do księgarni po mapę Ameryki — rzekła Sylwia.

— Do księgarni Abendsterna! — rzucił Mozes stangretowi, który zaciął konie.

W księgarni zapytała Sylwia o najnowszą mapę Ameryki.

— Niestety, nie mam — odpowiedział uprzejmie księgarz Abendstern. — Kilka dni temu sprowadziłem taką kartę dla profesora Klugego, ale na składzie drugiej nie mam, bo nikt tego nie żąda. Za kilka dni mógłaby być.

— Gdzie mieszka profesor Kluge? — zapytała Sylwia — pójdę do niego, może mi pozwoli zaglądnąć do karty.

— O, bezwątpienia! — zapewnił księgarz — mieszka przy ulicy Korynckiej I. Zastanie go pani na pewno w domu, bo on pracuje pilnie nad jakąś książką o Ameryce.

Sylwia podziękowała uprzejmie i wróciła do sań, gdzie siedziała matka jej z Mozesem i prosiła ich żeby pojechali do tej a tej cukierni, a sama poszła pieszo na ulicę Koryncką.

Profesor Kluge mieszkał w starym domu, którego ozdobna brama wiodła do długiej dużej sieni.

Sylwia pociągnęła za dzwonek.

Wyszła dziewczyna schludnie ubrana i zapytała, czego sobie życzy.

Świeża, zdrowa cera i zadowolony wyraz twarzy dziewczyny był dowodem, że ze służbą w domu Klugego obchodzono się dobrze i po ludzku.

— Czy pan profesor w domu? — zapytała Sylwia.

— Tak jest! — odpowiedziała dziewczyna — kogo mam zaszczyt oznajmić?

Sylwia wymieniła nazwisko.

Dziewczyna wróciła po chwili, mówiąc, że pan profesor każe prosić.

Zaprowadziła Sylwię przez kilka ładnie umeblowanych i czyściutko utrzymanych pokoi do dużej sali o trzech oknach, przy których nie było firanek, widocznie dlatego, żeby było więcej światła.

Gęsty dym unosił się w pokoju, a wśród kłębów dymu ujrzała Sylwia przy starożytnym biurku starego mężczyznę, który siedział i pisał coś pilnie.

Gdy Sylwia weszła, staruszek podniósł głowę i spojrzał na nią z roztargnieniem rozumnymi oczyma i rzekł:

— Na małą chwileczkę panią przepraszam. Za chwilę będę pani służył.

To rzekłszy pisał dalej, a z wyrazu twarzy widać było, że zupełnie był zatopiony w swojej pracy i zapomniał zupełnie, że w pokoju był ktoś obcy.

Pióro skrzypiało po papierze, z fajki wznosiły się kłęby tytoniowego dymu, a Sylwia stała nieśmiało obok drzwi i nie miała odwagi przeszkodzić uczonemu w pracy.

Mimowoli rozglądnęła się po pokoju.

Wzdłuż ścian biegły półki, od podłogi do sufitu założone książkami. Na dużych stołach leżały karty i mapy, a w środku stał globus. U jednego z trzech okien stał stolik, na którym leżał rozpoczęty haft i maleńki srebrny pierścionek.

Gdy Sylwia myślała o tym, czy profesor ma córkę, otworzyły się bez hałasu drzwi i do pokoju weszła pocichutku przystojna, młoda dama, w popielatej wełnianej sukni.

Córka jego — pomyślała sobie Sylwia, a dama odezwała się dźwięcznym głosem:

— Moja służąca powiedziała mi, że pani potrzebuje czegoś od mego męża. Mąż mój taki jest zatopiony w swojej pracy, że zapomina o wszystkim. Przepraszam panią bardzo, bo mi się zdaje, że teraz oto właśnie zapomniał o tym, że pani tu jest.

— Kochany Justynie! — rzekła teraz do męża, kładąc mu rękę na ramieniu i patrząc nań czule — ta pani ma do ciebie jakiś interes.

— Zaraz — mruknął profesor — w tej chwili służę tej pani.

Widocznie jednak powiedział to całkiem mechanicznie, nie myśląc o tym, bo pisał ciągle dalej.

Sylwia dziwiła się, że ten siwy pan ma taką młodą żonę.

— Przepraszam bardzo — rzekła głośno — że przeszkadzam mężowi pani, lecz mam prośbę do niego.

Żona profesora chciała znowu zwrócić się do męża, aby Sylwia ją powstrzymała.

— Chodzi mi tylko o to — rzekła — żeby mi wolno było zaglądnąć do karty Ameryki, którą pan profesor sprowadził sobie przez Abendsterna, bo muszę zobaczyć, gdzie leży miasto Willsonstown. Mam tam jechać, a nie mam pojęcia, w której części leży to miasto.

— Zaraz pani dam tę kartę — odpowiedziała uprzejmie pani Kluge — dobrze zrobił pan Abendstern, że panią posłał tu do nas, bo zanimby dla pani taka karta przyszła z Wiednia, musiałoby to trwać ośm do dziesięciu dni.

Przysunęła jej krzesło i podeszła do szafy, z której wyjęła dokładną kartę Ameryki.

Rozłożyła ją przed Sylwią i obie pochyliły się nad mapę, szukając Willsonstown.

Nagle okrzyk radości wyrwał się z ust Sylwii, a na twarz wybiegł jej rumieniec. Bystry jej wzrok odkrył szukaną miejscowość.

— Willsonstown! — zawołała z radością — o tu, nad Missisipi — dziękuję pani bardzo! oT mi oszczędzi wiele czasu! Bardzo pani dziękuję!

— Cieszy mnie to, że mogłam usłużyć pani taką drobnostką — odpowiedziała profesorowa, żegnając Sylwię serdecznie.

Sylwii pozostało po wyjściu z tego domu przyjemne wspomnienie o tej kobiecie, która choć obca, tak uprzejmie i serdecznie z nią się obeszła.

Mojrzesz i pani Herbert odrazu poznali po niej, że jej się powiodło.

— Wiesz już? — zapytała pani Herbert.

— Tak jest — odpowiedziała Sylwia — a teraz trzeba mi się spieszyć. Im prędzej wyjadę, tym rychlej Werner i biedny ojciec będą wolni.

— Trudno mi będzie z tobą się rozstać — rzekła smutnym głosem, ale widzę, że byłby to grzech zatrzymywać ciebie, kiedy masz zamiar wyjechać.

— Radybym natychmiast — odpowiedziała Sylwia — ale muszę jeszcze załatwić. Przede wszystkim chciałabym mamę z Idą umieścić gdzieś tu w Petershagen i muszę sobie sprawić suknie i bieliznę na drogę, bo mam bardzo mało, wszystko mi się spaliło. Może by zaraz rozglądnąć się za mieszkaniem dla mamy? Im prędzej, tym lepiej.

Pani Herbert zgodziła się naturalnie.

— Sama myśl, że będę w swoim domu i może będę mogła zarabiać na siebie, już mnie pokrzepia — rzekła — może pani Kudlich ma mieszkanie dla mnie i dla Idy.

— Więc chodźmy mamusiu do p. Kudlich, a Moszko nam będzie towarzyszył.

— Na teraz ośmielam się panie pożegnać — odrzekł Mojżesz — a co do wiadomości, będę tak śmiały pisemnie je udzielać.

Ukłonił się uniżenie, panie mu rękę podały, poczem oddalił się spiesznie.

W którą stronę mam się zwrócić — zapytał woźnica, zobaczywszy panie wychodzące z cukrowni — wszak Moszko zapłaciwszy mnie, dał mi zlecenie odwieźć wielmożne panie dokąd rozkażą.



W Paryżu rozpoczęły się onegdaj obrady rzeczoznawców spraw morskich Francji, Anglii i Włoch mające uzgodnić wszelkie szczegóły kontroli Morza Śródziemnego w związku z postanowieniami konferencji w Nyon.

Nowy ten dowód troskliwości Moszka rozczulił panią Herbert równie jak i Sylwię; rzuciwszy spojrzenia tkliwe za nim, wsiadły do powozu i udały się do państwa Kudlich.

Ta przyjęła ich ze szczerą radością i wprost zachwycona była tym, że pani Herbert chce zostać jej lokatorką. Poprowadziła z triumfem gości swoich do dwóch małych pokoików na poddaszu, które graniczyły z kuchnią i rzekła:

— Tu łaskawe panie wcale przyjemne pomieszczenie znajdą, a ja przysłużę się paniom we wszystkim, o ile to w mojej mocy będzie. Jestem skromna, ale życzliwa, a komu sprzyjam, gotowa jestem w ogień skoczyć za niego. Czynsz wynosi 50 guldenów, dodała dość prozaicznie.

Ubikacje były skromne lecz schludne, przeto nie namyślając się długo, wynajęła je pani Herbert ku największemu zadowoleniu pani Kudlich. Pokrzepiwszy się małą przekąską, podaną przez panią Kudlich, wstąpiły do kilku sklepów i wróciły dopiero o zmierzchu do Königswalden radośnie powitane przez Idę.

— Jakże się sprawa skończyła? — zapytała swoją przyjaciółkę.

Sylwia w sposób sobie właściwy z ożywieniem opowiadała o wszystkich zajściach kończąc słowami: Nie waham się wcale, gdyż dokąd' olwiek dąż'ę, wszędzie błogosławieństwo ojca mego będzie mi towarzyszyć.

ROZDZIAŁ CCIV

Wdowi grosz

Anastazji ostatnie pieniądze, uratowane w nieszczęściu, rozchodziły się bardzo szybko.

Choć ona dwa razy obróciła cent zanim go wydała ,to jednak mieszkanie trzeba było zapłacić koniecznie, zima była ostra, więc trzeba było palić w piecu, i to niemało, a jeść przecie też musiała.

Tak więc mała suma, uzyskana ze sprzedaży mebli i garderoby topniała z przerażającą szybkością.

Trzeba więc było na serio myśleć o tym, jak sobie zarobić na chleb w przyszłości.

Jedyne co umiała Anastazja, to roboty ręczne, jakie wykonywała dawniej dla baronowej Wimpfen. Wydała więc dość wiele na kosztowny materiał, kupiła pluszu i różnego jedwabiu i zaczęła haftować.

Ale z trwogą zauważyła, że drżące ręce i oczy zachodzące łzami nie dopisywały jej tak jak dawniej, więc i robota wychodziła spod jej rąk daleka od doskonałości.

Mimo to jednak, gdy skończyła, z ciężkim sercem wybrała się z nią do miasta.

Chodziła od sklepu do sklepu ,prosząc o robotę. Ale tu mówiono jej raz, że hafciarki tam są stałe, to znowu kazano sobie pokazać robotę próbną, a gdy ona wyciągała swój haft i pokazała ,odmawiano jej wręcz wszelkich zdolności do haftowania.

W ten sposób musiał wreszcie nadejść dzień, w którym Anastazja pozostała literalnie bez centa.

Zamknęła drzwi od środka, aby się wydawało, że jej nie ma w domu, bo gospodyni nalegała o zapłacenie zaległego czynszu.

Skulona od zimna, bo nie miała pieniędzy na opał, siedziała w kącie i głodniała, od kilku dni żywiąc się już tylko suchym chlebem.

W okropnym swym położeniu szukając ratunku, wracała myślą kilkakrotnie do jednego przedmiotu, do którego nie śmiała się od razu zbliżyć.

Przyjaciele jej, którzy w ostatnich czasach tak się haniebnie wobec niej znaleźli, nie przedstawiali dla niej żadnej możliwości ratunku.

Ale Anastazja miała także krewnych.

Przykro jej było teraz wracać myślą do nich, bo w chwilach szczęścia i dostatku odepchnęła dumnie wszelkie ich zbliżenie się.

Ale nie było rady. Myśl o nich wydawała się jej ostatnią deską ratunku.

Zawinięta w chustkę, wykradła się z domu z obawą, by po drodze nie spotkać gospodyni.

Na ulicy namyślała się dokąd pójść.



W Berlinie rozpoczął się już sezon sportów zimowych. Na zdjęciu 3 mistrzynie łyżwiarki suną rytmicznie po gładkiej tafli sztucznego lodu.

Przypomniała sobie nagle, jak to kiedyś, gdy jeszcze była u baronowej, pożyczyła kuzynkowi Leopoldowi Steinowi 5 zł.

A więc do niego! Zażąda zwrotu tych pieniędzy i na razie przynajmniej nie będzie potrzebowała żebrać.

Po długiej wędrówce zaszła do rudery, w której było jego mieszkanie.

Na czwartym piętrze zobaczyła jego wizytówkę na drzwiach, ucieszyła się, że się nie przeprowadził.

Zapukała nieśmiało.

Leopold Stein grubym basem zawołał:

— Proszę wejść!

W pokoju były gęste pasma dymu tytoniowego.

Gdy jej oczy przyzwyczaiły się do mroku i dymu, zobaczyła kuzynka, który w starym brudnym szlafroku leżał na podartej kanapie i palił fajkę.

Leżał obrócony do ściany i nie odwracając twarzy spytał:

— Kto tam do diabła?

— To ja, Stasia — odpowiedziała Anastazja nieśmiało.

Usłyszawszy to Leopold Stein, zerwał się z kanapy i z ironią ukłonił się nisko.

— Ach! co za zaszczyt! Czemu mam zawdzięczyć niespodzianą łaskę?

— Dlaczego mnie wyśmiewasz? — prosiła Anastazja — ja ci przecie nigdy nie zrobiłam nic złego — patrz, jak mi teraz źle się powodzi. Oddaj mi tych 5 reńskich, które ci pożyczyłam raz, bo mi są teraz bardzo potrzebne.

— Ty? mnie? pięć reńskich? Śmiać się chyba! — zawołał Poldek brutalnie.

— Przypomnij sobie Poldziu! — prosiła Anastazja — tamtego roku, w jesieni, na Körnterstrasse.

— A! tamtego roku! tak dawno, tego ja nie mogę pamiętać. Natomiast pamiętam dobrze ostatnie tygodnie, — odpowiedział Stein. — Teraz znalazłaś drogę do mnie, ale jak byłaś bogata, nie znałaś mnie. Nie było cię w domu, gdym cię chciał odwiedzić. Mnie, rodzonego kuzyna, nie zapraszałaś na uczty, na których obżerali się u ciebie obce diabły.

— Cóżem ja temu winna, że mnie przypadkiem właśnie nie było w domu, jakeś do mnie przychodził. A że ciebie nie zawsze zapraszałam, to dlatego, że u mnie było ciasno. Ale i ty bywałeś zapraszany, przypomnij sobie Poldziu!

— Tak jest, raz jeden wszystkiego, na samym początku, potwierdził Poldziu — i chyba dlatego mnie potem nie zapraszałaś, żem stłukł filiżankę i krem wylał się na łono pani Linzel. Nie byłem dość dystyngowany — dla twego kółka, dlategoś mnie nie zaszczyciła zaprosinami.

— Krzywdzisz mnie Poldziu! — lamentowała Anastazja, chociaż w duchu musiała mu przyznać rację — ja ciebie tak kochałam, a ty mnie oczerniasz teraz za to. Ach, gdybyś wiedział, jaka u mnie teraz bieda, zlitowałbyś się i oddałbyś mi tych 5 reńskich, które mi się zresztą przecież słusznie należą.

— Nic nie wiem o żadnych pięciu reńskich — odpowiedział szorstko — zresztą być może — rzekł, widząc, że ona rzewnie płacze — ale gdybym chciał wszystkich zapamiętać, których naciągnąłem, to miałbym wiele do czynienia. Ja zresztą nie mam pieniędzy. Dlaczego nie udasz się do swych dobrych przyjaciół, żeby ich naciągnąć. To byłoby o wiele mądrzej, niż przychodzić do mnie, który jestem goły, jak święty turecki.

Anastazja płakała rzewnymi łzami.

— Kiedym miała pieniądze, to nie było granic ich miłości, tych podłych kłamców — mówiła wśród łez — a teraz to mnie za drzwi wyrzucają!

— A to podli! — zawołał Stein moralnie oburzony — to już ja taki nie jestem. — Ubogo, ale szlachetnie — moja dewiza. Nie wyj Stasio, zobaczymy, co się da zrobić. Podzielę się z tobą po chrześcijańsku wszystkim, co mam.

Gniew jego rozpłynął się i ustąpił miejsca dobrodusznemu współczuciu.

Podsunął jej krzesło i zaczął w swoich gratach pilnie szukać monety.

Wywrócił naprzód kieszenie spodni, ale pokazało się, że było w nich — płótno. To samo w kamizelce. Potem szukał w tytonierce, papierośnicy, w szufladzie komody, w której było kilka kawałków bielizny, niezapłacone rachunki, nadpalone cygara, rękawiczki znoszone itp.

Po długim szukaniu znalazł trochę monety — ale bardzo niewiele.

Był tam gulden i kilka centów.

Ze smętną miną oddał je Anastazji.

W tej chwili otworzyły się drzwi i wleciał drugi student.

Nie zwracając uwagi na Anastazję, którą w tym ubogim stroju mógł wziąć za praczkę, rzucił się bez żenady na kanapę Poldzia i wywijając nogami zawołał stentorowym głosem:

— Piwa, bo zginę!

— Trzeba mieć! — odpowiedział flegmatycznie Stein. — Pożycz mi lepiej 5 reńskich!

— Pożycz mi 100 tysięcy milionów! — odpowiedział kolega — nie wiedziałem, że jesteś taki głupi. Jakbym miał pięć blatów, tobym z pewnością nie siedział tu w twojej norze. W gardle mi sucho, jak w pustyni Saharze. Język zasycha w ustach, a ta małpa ma czelność się pytać, czy ja mam pięć reńskich.

Jęknął komicznie, ale wnet zaczął coś śpiewać pod nosem.

Poldek zwrócił się do Anastazji.

— On widocznie naprawdę nic nie ma — rzekł — bo nie siedziałby tu u mnie. — Weź wszystko, co mam. Przykro mi, że tak mało, ale może jeszcze gdzieś kogoś naciągnę.

Wetknął jej w rękę całą sumę, którą pozbierał z trudem ze wszystkich kątów. Anastazja podziękowała mu ze wzruszeniem, jakgdyby za jakieś wielkie dobrodziejstwo i wyszła pocichutku z izdebki.

Na ulicy policzyła pieniądze. Gulden i sześć centów — to mogło jej wystarczyć na dzień, dwa — a co potem? Trzeba było koniecznie poczynić jeszcze jakieś kroki, żeby zapobiec straszliwej nędzy.

Niedaleko stąd mieszkała poczciwa piekarka, kuzynka Anastazji. Do niej udała się biedaczka.

Powiedziała służącej, że pragnie pomówić z panią. Pani Beuer siedziała w pracowni i dozorowała roboty swego personelu. Gdy jej powiedziano, że jakaś osoba chcę z nią mówić, była zła, że się ją zmusza do opuszczenia stanowiska, a humor jej popsuł się jeszcze, gdy zobaczyła, że ta osoba — to Stasia.

— Czy mogę cię prosić o rozmowę w cztery oczy? — spytała pokornie Anastazja.

— Dlaczego? — odparła szorstko piekarka — ja nie mam żadnych tajemnic. Co ja z tobą mam do mówienia, to może słyszeć każdy człowiek.

To nie było wcale zachęcające na początek, ale Anastazja zebrała się jeszcze na odwagę, żeby mówić dalej i poprosić o małą pożyczkę.

— Tak? — zawołała pani Beuer z ironią i złością — nie może być?! Z tym, to trafiłaś do mnie!? A przedtem, nim cię okradli, nie pamiętałaś drogi? Byłaś zanadto wielka pani, żeby do mnie przychodzić! Na ulicy jakeś mnie spotkała, toś

Ciąg dalszy na stronie 837.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

NA NOWĄ DROGĘ ŻYCIA

Koledze Władkowi w dzień ślubu — autor.

O, bądź szczęśliwy, Drogi Kolego,
na nowej drodze życia...
Niech-że się spełni, wszystko najlepsze,
o czym marzyłeś w ukryciu.

Niech Ci się wszystko układa znośnie,
na każdym życia kroku —
i niech małżeństwo, związek najgłębszy,
nigdy nie zgubi uroku...

I niech zrozumie Cię pani — serca
w doli i niedoli
i niech się śmieje, gdy Ty się cieszysz,
a w bólu niech Cię ukoi.

Tego Ci życzy z całego serca
kolega Twój najszczerszy...
nie przy toaście — ale z daleka,
słonecznym swoim wierszem...

Jan Feliks Płóciennik.

ZA SERCE ODPOWIADAM SERCEM

„Samotny Sfinks". Pisze tak serdecznie, że nie umiałam oprzeć się chęci podzielenia się z Wami, Drodzy „Krainiacy", słowami jego listu. Słuchajcie proszę, co między innymi pisze ten miły nasz przyjaciel:

„Jestem starym czytelnikiem „Moich Powieści", ale młodym członkiem „Krainy". Zaledwie trzy miesiące należę oficjalnie do tej wielkiej i kochanej „Rodziny", a ileż to zmian i nowych wrażeń dała mi ona! Ani na chwilę nie przypuszczałem, że tyle zadowolenia da mi „Kraina". Serdecznie zostałem przyjęty przez „Krainiaków" do ich grona, to też jestem im niezmiernie za to wdzięczny i za serce odpowiadam sercem. Znika powoli pustka z mego życia, nie jestem już tak samotny, jak byłem. Pełno wokoło widzę przyjaciół, którzy mnie rozumieją i wyciągają braterską dłoń. Zaczynam wierzyć, że istnieje jeszcze na świecie prawdziwa przyjaźń, płynąca z serca, tylko trzeba wiedzieć, gdzie jej szukać. Jestem szczęśliwy, że należę, do tak wielkiego grona serdecznych przyjaciół. Prawdziwa to rodzina, która umie dodać otuchy i wiary w lepsze jutro, jednostkom, co zwątpiły w istnienie prawdziwego szczęścia. Apel mój umieszczony w „Krainie", pozwolił mi nawiązać korespondencję, dającą mi dużo zadowolenia. „Krainiacy" powyciągali do mnie braterskie dłonie, za co im jeszcze raz serdecznie dziękuję. Nie wszystkim jednak mogę od razu napisać, wobec czego proszę Panią Zofię o umieszczenie w „Krainie" krótkiego komunikatu ode mnie:

„Księżniczko Tirso" dziękuję za pozdrowienia, które odwzajemniam. Jestem również mieszkańcem Gdyni. Wobec tego, że wyjeżdżam na 6 tygodni, napiszę po moim powrocie.

„Zbijobruku poznański", „Smutna i brzydka Irko" dziękuję za pozdrowienia, które odwzajemniam.

„Ja - Nino", wybacz, że milczę. Powód podam później.

Wszystkim „Krainiakom" braterskie pozdrowienia z nad Polskiego Morza!!

CZEKAM...

„Milutka Lena". Ciekawa jestem, czy już nawiązałaś żywszą korespondencję z „Krainiakami"? A że w Poznaniu czujesz się dobrze cieszy mnie bardzo, gdyż lubię to duże, pulsujące życiem miasto. Postaraj się korzystać z licznych tam bibliotek, to unikniesz nudy i niezadowolenia. Nic tyle przyjemności dać nie może, jak ciekawa, dobra książka.

Pozdrawiam Cię jak najserdeczniej i życzę, aby Ci wszyscy, do których poniżej wołasz — odpowiedzieli Ci naprawdę chętnie.

„Halo! Poznaniacy! Obecnie jestem i ja w Waszym pięknym mieście, lecz nie mam tu znajomych — może ktoś skomunikuje się ze mną? Czekam pełna nadziei.

Dla „Młodego Orła" dużo serdeczności!

„Mixerowi" wiosenny uśmiech!

„Echo Wsi", całuję Cię — jesteś kochana!

„Smutna Iwonko" — czuję dużo sympatii dla Pani, lecz nie mam odwagi pierwsza napisać.

„Babiniczowi" dziękuję za pocztówkę i czekam na list.

Moc pozdrowień dla „Fakira", „Myśliwego" i „Jasia Sokoła".

PROSZĘ O ADRESY

O adresy, celem przesłania listów znajdujących się w redakcji, są proszeni: „Irka - Bajka", „Czarnooka Blondynka", „Rudi", „Mały Staś", „Smutna Iwonka', „Aramis", „Czarowna Basia" z „Wesołej Trójki z Bydgoszczy", „Zrównoważony", „Biały Tulipan", „Raula" „Stenia z Ina", „Jasieńka" i „Jasny Felek".

ZA TWOJE DOBRE SŁOWA...

P. Kaji Purollównie w podzięce i odwzajemnieniu.

Za Twoje dobre słowa, dziewczynko daleka,
posyłam Ci dank szczery i słowo serdeczne.
Przyjmij ode mnie sercem owo słowo wdzięczne,
słowo smutnego. jak Ty, nieznanego człeka.

I nie przejmuj się zbytnio smutkami, złą dolą,
bo życie nie jest bajką, lecz bojem nad boje.
Takim jest życie ludzkie, więc i takie moje
i przegrane gry z losem już mnie dziś nie bolą.

Chwytaj chwile szczęśliwe: na ziemi, na niebie...
Nie płacz nigdy, choćby Cię ból dławił obręczą.
I wierz, że znów po burzach losy spłoną tęczą
i grom wraży uderzy daleko od Ciebie.

A kiedy przyjdzie na Cię chwila jak sen złoty
i zechcesz mi powiedzieć bajkę starą ludzi,
niech myśl moja Cię wdzięczna do tego pobudzi...

Opowiedz bajkę cudną, pełną piękna, cnoty...
O tych kwiatach, co kwitną w snach Twoich jedynie,
o tym szczęściu, co wciąż trwa i nigdy nie ginie.

Adam Czekalski.

TAK NIE MOŻNA!

„Fleur". Ostatni list Pana przejął mnie głębokim smutkiem. Po prostu nie wiem, co Panu odpowiedzieć i jak wytłumaczyć Ci, że w ten sposób się życia nie bierze. Przecież tak nie można!

Czyż to możliwe, aby człowiek rozumny przejmował się tak fanatycznie abstrakcjami?!...

Nie rozumiem Pana — niech Pan proszę przestanie zaczytywać się w pseudo filozofiach wątpliwej sławy autorów. Należy się Panu odpoczynek, bo rzeczywiście może nastąpić przemęczenie umysłu i pociągnąć za sobą zapalenie mózgu conajmniej.

Stanowczo zakazuję Panu myśleć na poruszane w liście tematy. Ma Pan się poczuć na jakiś czas dzieckiem, które nie myśli o niczym trudnym, nie zaprząta sobie głowy elektronami, ani „tegoroczną obfitością miodu, która..." jakoby miała skutecznie oddziaływać na życie organiczne itd.

To są zagadnienia dla ludzi nauki, ludzi odpowiednio przygotowanych na ich roztrząsanie.

Pan powinien raczej pomyśleć o swym zdrowiu — nie pozwolić na wzmaganie się słabości, wycieńczenia i zawroty głowy. I nie wolno samowolnie jej prowokować. To grzech.

Niech Pan zwróci się do lektury czysto beletrystycznej, która, dając przyjemność, nie męczy umysłu.

Czekam na nowy list, wyzbyty już tej przytłaczającej nerwowości i dziwnych roztrząsań i i pozdrawiam Pana bardzo serdecznie!

ZAPOMNIAŁO SIĘ...

„Mała Konwalijka". Jakie dziwne ma człowiek uczucie, przy odpowiadaniu na zaległe listy. Ty, Droga Moja, piszesz w jednym z tych listów o tym, jak cudnie się żyje w lecie, jak przyjemnie człowiekowi wystawiać twarz na słońce, aby się opaliła na piękny brąz. Boże Drogi! toż to już dawno zapomniało się, że było gorąco, że używało się kąpieli wodnych i słonecznych i że spacerowało się w jasnej, powiewnej sukience i sandałkach na bosych nogach.

Teraz czuje się tylko nieledwie dotykalny chłód jesieni i myśli o tym, jakie to, bodajby najgrubsze, palto sobie sprawić i w jaki sposób uchronić się od spodziewanych przykrości późno - jesiennych podmuchów, albo wręcz wściekłych wichrów.

Czekam na wiadomość od Pani, gdyż nie wiem, jak ostatnio dajesz sobie rady z trudnościami swego zawodu. Napisz już szybko, a na razie przyjmij moje ciepłe pozdrowienia.

ZAWSZE!

„Przedwiośnie". Pięknie napisała Pani ten list z datą lipcową. Tyle w nim myśli i prozowanej poezji. Tylko zbyt — moim zdaniem — egzaltujesz, zbyt uczuciowo bierzesz wszystko.

Uczucie jest w życiu potrzebne, nawet bardzo, ale nie można być przeczulonym, bo to także jest pewnego rodzaju niewyrobieniem duchowym. Postaraj się brać sprawy trochę, jak to się potocznie mówi, — na rozum. Zresztą uważam że jesteś poważną osóbką, która zdolna jest zrozumieć i przekonać się do konieczności stosowania w życiu umiaru. Umiaru we wszystkim! Rozumiesz, Mała Dziewczynko? To dobrze!

Co do pytania, czy Cię rozumiem i czy odwzajemniam Twoją do mnie sympatię — to wierz mi, że zawsze masz i będziesz miała we mnie szczerą przyjaciółkę, a że rozumiem Cię i dobrze Ci życzę, dowodem wszystkie powyższe słowa tego listu.

Całuję Cię serdecznie i przechodzę do komunikatów:

„Czarny Hajduczku" — Moje Ty Kochanie, co u Ciebie słychać? Już dawno nie miałam od Ciebie wiadomości, popraw się proszę. Całuję Cię!

„Biała Ujajali" — kochana, czyś odebrała mój list? Czekam na odpowiedź i serdecznie pozdrawiam.

„Tartuk" — jakoś nie mogę się zdecydować na pierwszy krok. Może Pan jednak pierwszy do mnie napisze, na pewno odpowiem. Pozdrawiam.

A Ty, „Erosie" — nie skrobnął byś kilka słów? Ucieszę się bardzo!

Z PRZYJEMNOŚCIĄ!

„Wiarus Murzynek". Jestem zadowolona, że ma Pan tyle entuzjazmu na rzecz „Krainy". Tylko jedno zdaje mi się dziwne, mianowicie, że jest Pan przekonany, iż w naszej „Rodzince" nigdy nie ma smutków — muszę to niestety sprostować. Nader często smucą się nasi członkowie, a tylko to jest pocieszające, że starają się przy mojej pomocy koniecznie zwalczyć niehumory i bóle.

Z przyjemnością powitam Pana u nas w redakcji i pokażę mu wszystkie najnowsze zdobycze naszych zakładów, no i poznam tak sympatycznego wielbiciela „Krainy".

Acha! Trzymam za słowo i oczekuję niezmiernie obszernego listu.

Dziękuję w imieniu wszystkich „Krainiaków" za serdeczności i te zabójcze całusy na odległość.

Bywaj! Żołnierzyku Miły i pisz nadal tak buńczucznie i wesoło!

LIŚCIE

Szeleszczą cicho, szeleszczą smutnie —
z drzew opadają jak łzy rzęsiście...
na zwiędłe kwiaty, na ścieżki polne
pewiędłe liście...
Jeszcze jesienią nie płacze wicher,
deszczem nie dzwoni w okna srebrzyście,
a tu na ścieżkach ścielą się pierwsze
opadłe liście...
Minęła wiosna —
Przeminie lato —
jak pieśń słoneczna bez słów uniesień;
złotymi liśćmi...
srebrnymi łzami
zapłacze polska jesień.

J. Baranowski.

CHOĆ PODAŁYŚMY SOBIE DŁONIE...

Rywalce poświęcam —
choć podałyśmy sobie dłonie...

Zamieniłyśmy puste słowa
I podałyśmy sobie dłonie...
Jesteśmy dobrze wychowane:
Wiemy, że trzeba opanować
Zawiść, tak w życiu jak w salonie.
Mrużyłaś oczy raz za razem,
Drżały ci lekko ręce obie
I zrozumiałaś w owej chwili,
Że mi na sercu ciężkim głazem
Ległaś ty... ale i ja tobie.
Z ust naszych padły puste słowa,
Ale jad wspomnień opótł skronie:
Załkała krzywdy pieśń echowa
Ponura, wyższa o pół tonu
Od blagi życia i salonu...

— — — — — —

Choć podałyśmy sobie dłonie
Płonie ci jednak wstydem głowa
I twarz ci na mój widok płonie.

M. Mszczycka.

WZAJEMNA KORZYŚĆ

„Starsza Panna". Dziękuję Pani za miłe pozdrowienia i to piękne zdjęcie z Inowrocławia. Przypuszczam, że ubawiła się tam Pani szczerze. I cieszy mnie, że i fizycznie i psychicznie czuje się teraz Pani lepiej.

Proszę mi napisać, czy nawiązała już Pani miłą korespondencję z „Krainiakami". Chcę, aby tak było, bo wiem, że byłoby to z ogromną korzyścią dla stron obu.

Całej „Krainie" przekazuję niniejszym pozdrowienia Pani oraz ją samą serdecznie pozdrawiam.

PUKAJĄ...

„Heiutka" i „Weronka". Pukają do „Krainy" z cichą prośbą o przyjęcie dwie miłe siostrzyczki, mieszkające w odległym mieście tuż koło zachodniej granicy Polski.

Obie siostrzyczki są blondynkami i mają śliczne niebieskie oczy. Mam wrażenie, że są przystojne i bardzo pogodne. Nie ma w ich liście skarg ni narzekań, a jest ujmujący, pogodny uśmiech.

Tym uśmiechem proszę o pamięć i sympatię dla siebie.

Myślę, że ją zdobędą.

Posyłam im wzajemny szczery uśmiech w moim i całej „Krainki" imieniu.

CIESZĘ SIĘ!

„Waldy". Cieszę się bardzo, że mój ostatni list przypadł Panu szczerze do serca — lubię, gdy moi współrozmówca jest zadowolony z dyskusji przeprowadzonej ze mną — albo gdy słowa przeznaczone dla zgnębionego, zniechęconego do życia człowieka, dają mu bodaj maleńkie najmniejsze drgnienie otuchy. A Pan wszak wychwalasz mnie tak ogromnie — pragnę nie zawieść nigdy zaufania Pana, nawet bez nadziei na: „gorące ucałowanie tych łapek, które umieją takie dobre i życzliwe słowa pisać".

Wspaniale, jak wnoszę z listu, spędził Pan tegoroczne wakacje. Hulać w górach — to nie bagatela i w dodatku, korzystając z okazji — robić wypady do pobliskiej Czechosłowacji! Doprawdy, że zazdroszczę Panu i tych gór i Czechosłowacji. No, ale zazdrość moja nie jest tak wielka, że jeden z moich Kochanych „Krainiaków" użył przyjemności i poznał spory kawałek świata.

Na drugi rok „śmignie" Pan zapewne w inny kraniec Polski — życzę tego szczerze! A na razie pozdrawiam Pana serdecznie i przechodzę do Jego komunikatów:

„Bajko" — dokąd wyjeżdżałaś w tym roku? Opisz wrażenia z wakacyj — ty wszak umiesz tak ślicznie pisać! Pozdrowienia z nad Bałtyku odwzajemniam uściskiem Twych łapek.

Zasyłam również pozdrowienia p. Halszce i Włodkowi — wkrótce napiszę i do Was. Całej „Krainie" ukłony!

ZALEŻY OD WSPÓLNYCH ZAINTERESOWAŃ

„Rozśpiewana Izabella". To ładnie, że jesteś zadowolona z korespondencji z „Krainiakami". Co zaś do przyjacielskiej korespondencji z którąś z sympatycznych Pań, to proszę Cię Miła Dziewczynko, napisz jeszcze do „Dafne" i „Ciemnookiej Irki". Trudno mi specjalnie wskazywać którąś z Sympatyczek, gdyż wszystkie są bardzo miłe i ogromnie kochane — a silniejszy kontakt zależy już od wspólnych zainteresowań danych osób. To już nie zależy ode mnie — rozumiesz to chyba i postarasz się zdobyć sobie przychylność tej lub innej Pani, która z listów najwięcej będzie Ci się podobała.

Pozdrawiam Panią serdecznie i przechodzę do Jej komunikatów:

„Halo! „Romantyczny Śpiewaku" listu dotąd nie otrzymałam. Czekam i pozdrawiam serdecznie!

„Dziewczynę z pod lasu" zapytuję, czy można do niej napisać?

„Szatynkę" pozdrawiam i proszę o jakąś wiadomość.

„Baronie Cygański" — ślę Panu pozdrowienia — napisz do mnie!

„Jasiu — Sokole" — znamy się. Czołem! Wszystkim „Krainiakom" życzę dużo, dużo radości i posyłam uśmiechy!

OWSZEM!

„S. 13". Tak, Miły Panie, prośba Pana została wysłuchana, bo i przyjmuję Go do „Krainy" i zamieszczam apel.

Pozdrowienia odwzajemniam i życzę powodzenia!

„Hallo! Kochani „Krainacy" — może któryś z Was napisze do mnie? Odpowiem na każdy list.

Jestem młody, oczy mam niebieskie i ciemno blond włosy. Lubię muzykę i śpiew. Nie mając dla siebie serca bliskiego a oddanego, zwracam się do „Krainy" w nadziei, iż się nie zawiodę.

Listy proszę kierować: poste - restante Mogilno, dla „S. 13".

Zasyłam słowa gorącej sympatii dla „Krainy" i czekam odzewu jej członków!

GŁÓWKĘ DO GÓRY!

„Iste Venus". Wiem, Droga Dziewczynko, że jeden i drugi zawód zdolen jest zabić na jakiś czas w człowieku nadzieję w szczęście i w jaśniejsze jutro. Lecz ponoć z kamieni, które rzuca nam pod nogi „dziś" — człowiek winien budować swoje „jutro" — zawsze na nowo i zawsze jeszcze raz. Weź to sobie prosze za hasło dnia i zastosuj, a sądzę, że rezultat będzie, jeżeli nie duży, to w każdym razie znośny.

Nie powinno się używać słowa „nigdy" i „na zawsze" — są to dwa więcej niż względne określenia, nie mają bezwzględnego spełnienia. Zdarza się czasem wyjątek, ale wszak jako taki nie może być podciągnięty pod regułę, nie może być dość ważkim dla ogółu I całe w tym szczęście, bo niechby no zaczęło się konkretnie spełniać takie „nigdy" — wnet świat przestałby być naszym zwykłym — poczciwym lub nie (światem — a stałby się cudactwem doprawdy godnym pożałowania, z którego Ty pierwsza zechciałabyś uciekać. No, ale żarty i filozofię na bok! Chcę Pani powiedzieć, że zawsze będę Jej sugerować nadzieję w dobrą przyszłość i zawsze będę dla Niej tego pragnęła. Nie rozpaczać i nie sumować, Mała Dziewczynko, a życie musi i też uśmiechnie się do Ciebie. Nil desperandum! I zawsze główka do góry, czy będzie to jasna, czy ciemna — z natury radosną, czy smutną — zawsze należy ją unosić wysoko i starać się wyrabiać młodzieńczą w sobie pogodę i jasność! To warunek sine qua non! Bez którego nie może człowiek marzyć o zadowoleniu, ani tym mniej o szczęściu!

Ja zaś przyrzekam Pani nie zapominać o Niej i zawsze z równą ochotą śpieszyć ze słowami zrozumienia i otuchy. Zadowolona? Cudownie! Przeto wyrażę Ci serdeczne pozdrowienia, wpierw jeszcze w Twoim imieniu, oznajmiwszy „Duśce", że przesyłasz jej ciepły uśmiech i prosisz o skreślenie pod swój adres kilku słów, a całej „Rodzince" — że rzucasz jej śliczne „pa!"

Teczka Wujka Janusza

CZEKAM...

„Bajka". To, co mi Pani napisała, Miła Moja, zmartwiło mnie trochę. Czy to możliwe, aby oni wszyscy byli tacy banalni? To nie do wiary! Pani, zapewne tylko nie natrafiła na silniejszą, głębszą indywidualność.

Niech mi Pani poda swój dokładny adres, a może prześlę Jej list od osoby o większych zaletach osobistych — Pani zresztą sama pragnie z tym Panem korespondować.

Ponadto niech Pani spróbuje korespondować z „Krainiakami" jak: „Don Juan", „Eros" „Te - Em", „Biały Zwid". Sądzę, iż znajdzie Pani zadowolenie w rozmowie z tymi panami. Czy Pani ma w „Krainie" pseudonim „Irki - Bajki?" Widzi Pani, ja nie bardzo orientuję się w pseudonimach, których właściciele nie nadsyłają wcale wierszyków do oceny. Proszę mi szybko odpisać. Na razie pozdrawiam i pozostaję w oczekiwaniu!!

GRAJĄ DZWONY!

Wśród błogiej ciszy wieczornej świata
Grają łagodną pieśń dzwony;
Odwieczną pieśń swą! — co w dal ulata,
Jednak innymi wciąż tony...

A dzisiaj grały tak jakoś rzewnie,
Cichutką skargą załkały...
Dzwony najmilsze! o, wyście pewnie
Nade mną, dzisiaj płakały?!

I wspólnym echem po kroplach rosy
Pieśń nasza płynie polami,
Aż się zagubią tęskne jej głosy
W dolinie, osnutej mgłami.

„Czarodziejka".

PROSZĘ PRZESŁAĆ

„Henry". Jeżeli Pana nowelki są udatne, proszę je przysłać, a z przyjemnością przeczytam i wydam ocenę. Tylko zastrzegam sobie wyraźne, b. czytelne pismo!

Wierszy nadesłanych mi nie zaawansowałem do druku — zbyt słabe!

Pozdrawiam Pana bardzo serdecznie i przedrukowuję Jego komunikaty:

„Dumko" — dziękuję za te kilka słów z Warszawy.

„Steniu z Rogoźna" — gniewasz się na mnie? Zdaje się, że wytarganie mi uszu sprawiłoby Ci prawdziwą satysfakcję? Pozdrawiam!

„Złote Słoneczko"! Ślę słowa prawdziwego zachwytu. Fotos Pani w „Krainie" prześliczny!

„Dzidzi"! Co do George'a myli się Pani jednak, gdyż w Poznaniu George'a także mamy, a obecnie jest nawet powiększony o lokal dancingowy „Sim". Bywam tam często i jestem nim zachwycony.

Jeżeli Pani chciała by naprawdę poznać „Fakira", proszę o liścik.

„Zbijobruk poznański" — nie wiem kim jesteś, Urwiszu!

„Czarnego Hajduczka" pozdrawiam!

„Hord" — myślę o Panu często, jako o bratniej duszy.

„Halo! Łoś — Opalenica. Zapraszamy Cię do wzięcia udziału w życiu „Krainy". Chcemy Cię ujrzeć na zdjęciu w „Krainie". Przyjacielski uścisk dłoni!

P.P. Pewińskie — Opalenica. Proszę przyjąć moc życzeń od kogoś, kto był na „Zjeździe Śpiew." w Opalenicy. Pytam równocześnie, czy p. B. było szkoda 25 gr. na znaczek? Przykro mi!

Całą „Krainę" serdecznie pozdrawiam i proszę o pamięć!

WIERSZYK SŁABY

„Czarodziejka". Wierszyk Pani p. t. „Gdyby..." b. słaby, nie umieszczę, natomiast „Grają Dzwony" dużo lepszy — ucieszy się Pani, odczytując go w „Teczce".

Życzę Pani dużo natchnienia i czekam na dalsze wiersze!

SPÓJRZ

P. Zintce W. — autor.

Spójrz tylko okiem na świat,
Na srebrne nici pajęczyn,
Co mienią się barwą tęczy
Wokół osiedli, lasów i plant.

Spójrz tylko okiem na świat,
Na lśniące kule winogron,
Patrz, ktoś je zrywa do rąk,
A potem uniesie rad.

Spójrz tylko okiem na świat,
Na drzewa od liści złote...
Ach, wielką płoną tęsknotą
Tyle jesieni, tyle już lat.

Tadeusz Rawicki.

Raj kobiet

B 22508

B 22538



B 22507

B 22463

B 22 508. Bluzeczka z deseniowego jedwabiu, o modnym, nowym kroju. Potrzeba około 1,30 m. jedwabiu szer. 90 cm.

B 22 538 Śliczna bluzka kamizelkowa, odpowiednia do kostiumu sportowego. Uszyć ją można z materiału do prania w wąziutkie pasy, które zastosować można w różnych kierunkach. Również dobrze będą tu wyglądać rękawy długie. Potrzeba 2,30 m. mater. szer. 95 cm.

B 22 507 Jako uzupełnienie kostiumu nosić można tę uroczą bluzę z tiulu, przybraną kokardkami z aksamitu. Potrzeba tu około 1,60 m. tiulu, 90 cm. szer.

B 22 463 Również dla pań tęższych nadaje się ta miła bluzeczka o kroju koszulkowym, którą można uszyć z długimi lub krótkimi rękawkami. Potrzeba około 2,45 m. materiału, 95 cm. szer.

Co mogą zdziałać wygodne buciki

W pewnej gazecie angielskiej ukazał się artykuł, prawie że naukowy, gdzie autor dowodził, że potulność, z jaką Chinki znosiły tyranię mężczyzn, wynikała w znacznej mierze z deprymującego wpływu tortur, którym poddawano ich nogi, aby je zniekształcić, w imię osobliwego pojęcia piękna. Dzisiejsze Chinki, te które zbuntowały się przeciwko barbarzyńskiemu obyczajowi, nie są już uległymi niewolnicami jak ich matki. Palą papierosy, domagają się praw politycznych, ba — biorą udział w rewolucjach. Zdaniem autora, podstawowym prawem, które sobie wywalczyły, a bez którego nie byłyby zdolne do boju o dalszą emancypację, było prawo do wygodnego obuwia, pozwalającego nogom zachować kształt i rozmiary nadane im przez Boga.

Ale pocóż sięgać aż do Chin?

Ileż i u nas widzi się dramatów i ran serca, których istotnym powodem było... ciasne, sprawiające cierpienie obuwie? Ilu mądrych, potrzebnych słów nie powiedziano w porę dlatego, że ciasne buciki wygnały je z pamięci? Ile miłych lub filuternych uśmiechów, które mogły oczarować i przykuć, zmieniło się w nieprzyjemny grymas dlatego, że w owej chwili mózg świdrowała jedna uporczywa myśl: zrzucić przeklęte obuwie, uwolnić ciało i duszę od piekielnej tortury?

Oczywista, że nie należy wpadać w krańcowość. Nikt nie powie, że za duże, niezgrabne buciary są lepsze niż wytworne, lekkie, delikatne obuwie, zmniejszające stopę i tak pięknie uzupełniające strój kobiecy. Ale panie powinny pamiętać o jednej rzeczy: nogi trzeba pielęgnować tak samo jak twarz, włosy i ręce. Zwłaszcza w dzisiejszych czasach, kiedy kobiety nie tylko uprawiają sporty, nie tylko muszą dużo chodzić, lecz również oddają się często takiej pracy, która ich trzyma przez cały dzień na nogach — nie wolno zapominać, że całe nasze ciało opiera się na tych dwóch stosunkowo niewielkich podpórkach i że to jest niejako jego fundament.

Jeżeli podwaliny słabną, cały gmach jest zagrożony. Od stanu naszych nóg zależy w znacznej mierze prawidłowe funkcjonowanie nerek, wątroby, i innych narządów oraz czystość cery, blask oczu itd. — słowem różne powaby, do których kobiety przywiązują nieraz więcej wagi niż do zdrowia.

Jeżeli pani dużo chodzi w ciągu dnia, powinna wyrzec się na ten czas wysokich obcasów. Zresztą nie potrzeba chyba dużo jej do tego namawiać, gdyż wysokie obcasy nie są tak wygodne. Ponadto zaznacza się z naciskiem, że w gorące dni noga czuje się lżej, skóra swobodniej oddycha w pantofelkach ażurowych lub płóciennych.

Zaznaczamy nawiasem, iż zimne napoje i lody wywołują zawsze (o czym dobrze wiedzą zawodowi tancerze) ociężałość nóg, tak, że kto chce zachować lekki, elastyczny chód, powinien używać ich umiarkowanie.

Mówiąc o wysokich obcasach, wspomnieliśmy o modzie. Moda dzisiaj coraz częściej zasługuje na pochwałę higienistów, coraz bardziej liczy się ze zdrowiem i wygodą swoich poddanek.

Szewcy paryscy np. starają się uwzględnić potrzeby kobiet, które są zmuszone spędzać długie godziny w pozycji stojącej. Nie wymagają też zbyt wiele od nóżek nie skazanych na ciężką pracę. I te także mają prawo do wygody.

W naszych czasach elegancja nawiązuje serdeczne stosunki z higieną, czego skutkiem jest przymierze między pięknem a zdrowiem. I nadchodzi — zmierzch odcisków.

Odszkodowanie za utraconą piękność

Panna Helena Jesmer, która wygrała kilka konkursów piękności, udała się kiedyś ze swym przyjacielem, bogatym nowojorskim fabrykantem na dłuższą przejażdżkę samochodem. Przy kierownicy siedział sam fabrykant. Z powodu nieszczęśliwego zbiegu okoliczności fabrykant stracił panowanie nad kierownicą i samochód wpadł na latarnię. Panna Jesmer straciła przytomność, skaleczyła się w oko i złamała nogę. Natychmiast wytoczyła sprawę swemu przyjacielowi, przypisując katastrofę jego nieostrożności i domagała się ćwierć miliona dolarów odszkodowania. Sprawę tę wygrała.

Podobny wypadek zdarzył się przed kilku laty w Paryżu. Panna Duval, laureatka konkursu piękności w jakiejś prowincjonalnej mieścinie, padła ofiarą katastrofy samochodowej, przy czym podrapała sobie twarz. I ona również wytoczyła proces kierowcy samochodu, domagając się olbrzymiego odszkodowania. Sąd paryski był jednak mniej życzliwie nastrojony w stosunku do królowej piękności od sądu amerykańskiego. Odszkodowanie wprawdzie przyznał, ale bardzo niewielkie.

Świat i życie

Co kryją w sobie głębiny morskie

Jakie jest życie w głębiach morskich? Pytanie to od wielu wieków zajmowało ludzkość, ale dotąd nie posiadano środków technicznych, za pomocą których byłoby możliwym przeniknąć w głąb wodnych czeluści. Dopiero ostatnio udało się uczonym skonstruować właściwy aparat nurkowy. Przyrząd ten — to kula stalowa, posiadająca okrągłe okno, oszklone grubą szybą kwarcową.

Badacze świata podwodnego, pod kierownictwem głośnego dziś już profesora amerykańskiego dr. Williama Beebe, dokonali zuchwałego wyczynu: opuścili się w owej kuli stalowej, nazwanej „Bathysfera" do głębokości tysiąca metrów. O swych przeżyciach i wrażeniach podczas tej sensacyjnej wycieczki w głąb morza w lecie 1934 roku referuje dr. Beebe w jednym z pism naukowych. Wymienia on szczególnie swoje cztery wielkie przeżycia, a mianowicie: początek wiecznych ciemności; pierwsze rozbłyśnięcie światła „wykrzesanego" przez jakiś twór wodny; odkrycie zupełnie nowych gatunków ryb i wreszcie, fenomen eksplozji dokonywanych przez pewnych mieszkańców głębin, celem obrony przed nieprzyjacielem. Zresztą, powiada dr. Beebe, jest rzeczą niełatwą opisać to wszystko, co się widziało „tam na dole". Byłoby to mniejwięcej tak, jakgdyby zapytano cudzoziemca, który przed paru zaledwie godzinami wylądował w New Jorku: „Co pan sądzi o Ameryce?"

Jak dotąd, tylko pięciu uczonych, których dr. Beebe po kolei zabierał ze sobą w kuli nurkowej, oglądało cuda podwodnego świata morskiego. W dniu 11 sierpnia 1934 r. dr. Beebe po raz pierwszy opuścił się w morze, w odległości 6,5 mil od wysp Bermuda. Jedyne połączenie ze światem zewnętrznym stanowiła przymocowana do kuli lina stalowa, oraz kabel telefoniczny. W miarę zanurzania się kuli, pisze uczony, ogarniały nas stopniowo coraz większe ciemności. Nasamprzód zniknęły czerwone promienie spektrum słonecznego, następnie pomarańczowe, a potem barwa żółta pochłonięta została przez zieloną. W głębokości 200 metrów kolor wody jest ciemno niebieski, a osiągnąwszy głębię 220 metrów, spotkaliśmy pierwsze zwierzęta oświetlające sobie drogę światełkami. Ale tam nie panuje jeszcze ciemność absolutna: walka światła słonecznego z mrokami nie jest jeszcze zakończona. Dopiero w głębokości 1000 metrów jest — czarno, a jest to czerń tak intensywna, o jakiej ludzie „tam na górze" nie mają najmniejszego wyobrażenia.

Opuściwszy się do głębi 350 metrów, dr. Beebe puścił w ruch reflektor i wówczas po raz pierwszy padł promień świetlny w ciemną — od bilionów lat noc... Promień oświetlił rój małych ślimaków i w pewnej chwili wyłoniło się z ciemności jakieś potężne czarne cielsko przepływające tuż przed oknem aparatu. Po kolei obserwowano różne twory głębokomorskie o srebrzystych oczach i kolorowych łuskach, fosforyzujące błękitnawym światłem. Niektóre z nich, to ryby należące do rodzajów nam już znanych, jak: miecznik, ryba-larwa i węgorz-larwa. Nagle, w pewnej odległości wybuchło coś nakształt rakiety. Zjawiska tego dr. Beebe nie potrafił sobie wytłumaczyć i dopiero przy jednej z późniejszych swych wypraw stwierdził, że była to ryba 7—10 cm długości z rodzaju „garneli"; ryby te — przy zbliżaniu się nieprzyjaciela — „plują ogniem", dla odstraszenia napastnika. Uczony wspomina także o innych jeszcze, nieznanych zwierzętach morskich, które dotąd nigdy jeszcze do sieci rybackich nie wpadły. Wszystkie one wyposażone są w światełka. U niektórych widnieją po obu stronach pasma okrągłych lampek, tak, że przypominają one oświetlone okienka statku morskiego. Są takie, które posiadają świecące zęby, inne znów mają fosforyzujące kręgi dokoła oczu.

Wszystkie te cuda, widziane w głębokości tysiąca metrów pod powierzchnią morza, były tak fascynujące, że badacz zgoła zapomniał o grożących mu niebezpieczeństwach. Cóżby się stało, gdyby jedyna lina, podtrzymująca kulę nurkową, nagle pękła lub gdyby szyba kwarcowa, wbrew wszelkim wyliczeniom, nie wytrzymała olbrzymiego ciśnienia wody? Nie dowiedzielibyśmy się wówczas o tym, co się kryje w wiecznej nocy „na dnie przyrody".

Ze świata

Czy milionerzy są szczęśliwi?

Wielu ludzi wyobraża sobie, że miliarder to człowiek, którego życie upływa na nieustającej zabawie, którego całym kłopotem jest wybieranie sobie roz-

rywek, a całym zmartwieniem szukanie nowych, miłych wrażeń. Miliarder przecie nie potrzebuje sobie nic odmawiać, pieniędzy ma jak lodu, a za pieniądze można mieć wszystko.

Ale rzeczywistość jest bardzo odległa od tych pojęć. Niedawno pewien amerykański dziennikarz przeprowadził szereg wywiadów ze znanymi miliarderami i to, co się w tych wywiadach dowiedział, daje prawdziwe wyobrażenie o istotnym ich życiu. Aby się dostać przed oblicze jednego z najbogatszych ludzi świata Johna Pierponta Morgana, dziennikarz musiał przezwyciężyć wiele trudności. Bogacz mieszka w olbrzymim, wspaniałym gmachu, otoczonym wysokimi murami i drutem kolczastym. Co kilka kroków pilnują siedziby miliardera, od stóp do głów uzbrojeni wartownicy. Zdaniem ich jest baczenie, aby nikt przez mury się nie przedostał, albo nie przerzucił przez nie bomby. Nie jest to czcze gadanie. Na Morgana dokonano już kilka zamachów. Miliarder wie doskonale, że jego życie ciągle jest w niebezpieczeństwie. Już to samo nie daje mu chyba szczęścia!

W GABINECIE JOHNA PIERPONTA MORGANA

Zanim dziennikarz został dopuszczony do Morgana, musiał przejść przez najrozmaitsze biura, gdzie poddawany był indagacji i obserwacji. Sfotografowano go kilka razy w rozmaitych pozach, zdjęto odciski daktyloskopijne jego palców, sprawdzono czy nie ma jakiejś broni i dwóch detektywów zaprowadziło go do gabinetu Morgana.

Zobaczył starszego, o chorowitym wyglądzie człowieka, z czołem pooranym zmarszczkami. Morgan nie zrobił na nim wrażenia osoby radującej się z życia.

Wywiad miał trwać tylko minutę i odbywał się w obecności detektywów, którzy ani na chwilę nie spuszczali oka z przybyłego. Dziennikarz zadał miliarderowi kilka pytań, na które ten znudzonym głosem odpowiadał. Ostatnim pytaniem było:

— Czy pan jest szczęśliwy?

Na to pytanie bogacz odpowiedział z gorzkim uśmiechem:

— Niech pan się lepiej zwróci do mego szofera lub ogrodnika. Zapewniam pana, że są oni szczęśliwsi ode mnie. Ja, poprostu nie mam czasu, aby być szczęśliwym. Cały mój dzień, to nieustająca praca i ciągłe szarpanie nerwów.

ROCKEFELLEROWI STALE TOWARZYSZY LEKARZ

Tu skończył się termin wyznaczony na wywiad. Morgan skinieniem głowy pożegnał dziennikarza. Odprowadzali go znowu dwaj detektywi. Jeden z nich powiedział:

— Czy pan Morgan jest szczęśliwym czy nie, nie wiem. Wiem tylko, że codzień otrzymuje całe stosy listów anonimowych z wymyślaniami, pogróżkami i próbami szantażu. Na mieście nie może się pokazać bez silnej ochrony. Bardzo często zdarza się, że ktoś z przechodniów obrzuci go najpługawszymi wymysłami. Żadna ochrona na to poradzić nie może.

Ten sam dziennikarz odwiedził też Rockefellera. Mało się odeń dowiedział, gdyż zdziecinniały miliarder zbywał go tylko półsłówkami i w ogóle poświęcił mu tylko pół minuty czasu. Rozmowa odbywała się w obecności detektywa i lekarza, który uważał, aby sędziwy miliarder zbytnio się nie denerwował.

FORD CHCIAŁBY, ABY CZAS SIĘ COFNĄŁ

Od służby miliardera dowiedział się dziennikarz, że życie Rockefellera też nie jest bardzo urozmaicone i na niego dokonywano niezliczonych zamachów. Nie tak dawno jakiś szaleniec wtargnął na plac, na którym miliarder grał w golfa.

„Módl się!" zawołał do Rockefellera. „Za chwilę zginiesz"! i rzucił mu pod nogi bombę, która jednak nie eksplodowała.

Sędziwy miliarder wzruszył się zamachem szaleńca tak, że omal nie przypłacił tego życiem.

Henryk Ford, król samochodów jest wyjątkiem, wśród bogaczów Ameryki: cieszy się wielką popularnością. Ale, kiedy dziennikarz spytał go, czy jest szczęśliwym, odparł wymijająco:

„Wolałbym, aby czas się cofnął i abym znów był dwudziestoparoletnim, beztroskim, ubogim młodzieńcem".

Mirania Galińska.

Wojtek Gęgała

Przyszło to mizerne, zahukane, zabiedzone. Nędza i zaniedbanie patrzyły z całej jego chudej, ciężkiej, pochylonej postaci.

Lata? Mógł być w wieku zarówno średnim, jak starszym. Nie określały tego dokładnie rysy zamazane, blade, — takie jakieś nic nie mówiące, tępe. A może gnuśne?

Trochę leniem patrzał. Bo to i ubranie miał na sobie zbrudzone, podarte, i włosy tłuste, potargane — a przede wszystkim tępe, głupawe oczy.

Tak, to właśnie oczy robiły z niego gnuśnika. Jakże nieskończenie powoli obracały się w tę czy ową stronę, jak nieruchomo sterczały na jednym miejscu, i jak niemądrze wlepiały się w bliżej nieokreślony punkt. Tak wyglądało, że same nie wiedzą, co z sobą począć.

Mówiło „toto" powoli, przeciągle, ślamazarnie, przez nos. Po prostu gęgało. Istny wsiowy czapa, nieporadnik.

Jasne, że nie miało się ochoty godzić go w obowiązek. Lecz ojciec mój, który miał zawsze wiele serca dla wszelakiej opuszczonej biedoty — nie czynił niczego bez przychylnego zbadania wszystkich możliwych „za" i „przeciw."

Przeto wypytał go dokumentnie:

— Skąd, co robił, co umie?

No, był parobkiem i robił wszystko...

— Co wszystko? — pyta ojciec.

Milczenie.

— Ale przecież miał jakieś określone prace, jakiś obowiązek specjalnie mu poruczony, jakiś przydział?

— No, ja robił wszystko — stwierdza z rozbrajającą nieporadnością.

On robił wszystko, a co mianowicie, tego już widocznie nie umiał wyjęzyczyć.

— Więc robiliście wszystko? Hm, Hm... To może być ogromnie dużo i nic zgoła. Słuchajcie-no — szukał ojciec całego w dziurawym — umiecie to koło konia chodzić? Bo mnie potrzeba dzielnego służącego.

I stała się rzecz szczególna. Nasze „toto" dziwnie pojaśniało i roześmiało się szeroko — od ucha do ucha.

— Oj, panocku, jażby konia nie umiał doglądać? Przy koniu chodzić? Ino przy koniu, to bydę wartko latał. Ino przy koniu!...

Zdawało się, że coś się zmieniło w tym człowieku. Jakaś szczęsna radość zagrała w nim; wreszcie umiejętność jakaś się znalazła.

Ta umiejętność sprawiła dlań wiele. Od razu pomyśleliśmy, że twarz jego i oczy nie tak znowu beznadziejne są niemądre, że włosy mniej potargane, a ręce brudne. Że z postaci, obwieszonej łachmanami, nie gnuśność bije a niedola.

Nawet głos jego mniej zdawał się być gęgający, idący na nerwy.

W rezultacie pozostał u nas i... „wartko" rozpoczął pracować. Ta jego wartkość okazała się szczytem nieporadności, była twórcą ciągłych szkód, kłopotów i nieporozumień.

Mateczka dziwnie smutnieje na wspomnienie przepięknej palmy, słynnej na całą okolicę, którą to palmę nieszczęsne Wojtaszysko musiało złamać w czasie „wartkiego" znoszenia jej do cieplarni.

Nie wspomina się też u nas wspaniałego chińskiego wazonu, którym co roku przystrajała mateczka biurko ojca solenizanta. Więź przecudnych, świeżo rozkwitłych kamelii czerwieniła się zwykle w egzotycznym wazonie. Te kamelie rozkwitały zawsze na dwa, trzy dni przed świętem ojca.

Oj, nie mówi się o tych sprawach!... Cicho jest o nich w naszym domu. Tak cicho, że mnie się zawsze wydaje, iż drżą w tej ciszy łzy mamusi i ojca smutne: Po cóś mu kazała nosić ten klejnot?

Ileż to razy głos matki żywy, przywoływał i popędzał Wojtka:

— Wojtku, proszę podlać groszek pachnący, bo zwiędnie.

— Duchem lecę, paniusieczko, ino wpierw poobcinam resztę tych, psiachmać, kolców.

— Bój się nieba! Jakie ty znów kolce obcinasz? — woła matka, tknięta złym przeczuciem.

— Ady niech się panusia nie troskają, to te kolczyska u róż, co to paniusia wczoraj się źliła, że niby trzeba je obciąć, bo suknię rozdzierają...

Matka niczym strzała biegła do klombu róż, a ja za nią, pewna nowego kawału.

Oczywiście! Piękne, królewskie kwiaty, i sporo obciętych kolców w twardej garści dzielnego pomocnika.

— Wojtku, człowieku! Czy wy się nigdy nie nauczycie rozumu? Róże mi niszczy! Co ja pocznę? Tyle harówki, tyle zabiegów...

I to Wojtkowe nosowe gęganie w sensie usprawiedliwiającym, labidzące tłumaczenie bez końca.

— Niech Wojtek już sobie idzie! Niech mi nie psuje nerwów.

Matkę, gdy miała strapienie, niesłychanie drażniło jego nosowe „bez sensu, bez składu".

Za chwilę woła matka ponownie:

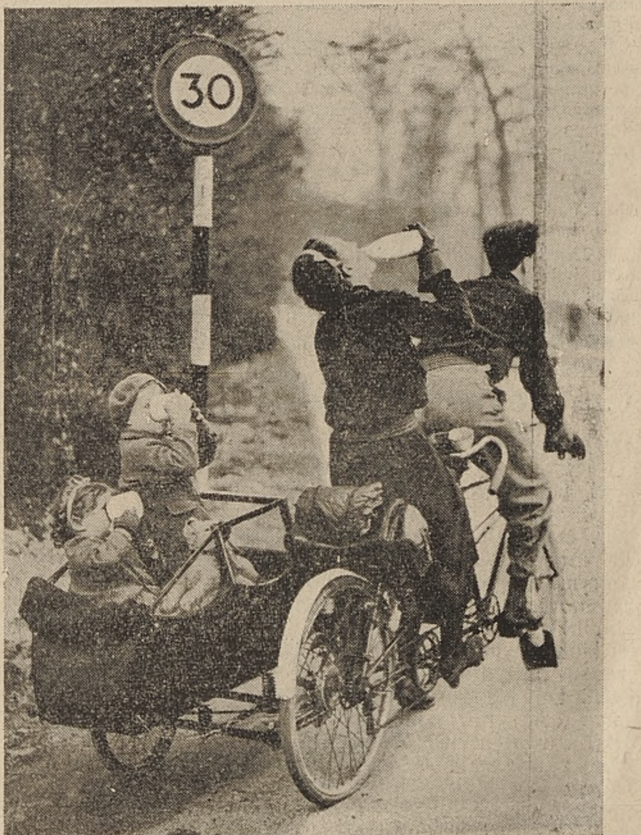
— Wojtku, proszę mi pomóc dźwignąć to szkło... Co wy tam takiego wyrabiacie?

— Nic, ino ten groch podlewam, poniusiu.

I proszę sobie wyobrazić, że z kapitalną pracowitością podlewał cały zagon grochu, co już schnął na zimę, miast podlać groszek pachnący.

Tak było zawsze. W końcu przywykliśmy do jego pechowej, partackiej roboty tak dalece, że raczej zdziwilibyśmy się, gdyby pracował szybko i sprawnie.

(Dokończenie w następnym numerze.)



Pewien polski bezrobotny skonstruował sobie ten dziwny rower, na którym jeździ z całą rodziną w poszukiwaniu pracy.

udawała, że mnie nie widzisz! Teraz ja udam, że ciebie nie widzę! Moje pieniądze są mi potrzebne i ani mi w głowie wydawać je na ludzi, którzy nosa zadzierali przede mną!

Narzekała jeszcze i gderała, choć Anastazji dawno już nie było u niej.

Nieszczęśliwa kobieta szła przez ulicę i niosła w sobie zmartwienie i zgryzotę, tym cięższe do zniesienia, że zasłużone, że z własnej winy ponoszone.

Ona widziała to i tym bardziej ją to bolało.

Ogromnie przygnębiona szła dalej przez kilka ulic i stanęła przed domem, gdzie wisiał szyld introligatora, na którym było jej własne nazwisko rodowe — Rother.

Udała się po pomoc do młodszego brata.

Minęła izbę, z której dolatywały krzyki jej bratowej i poszła w głąb podwórza, do warsztatu.

Brat jej, chudy, blady blondyn był przy robocie. Gdy ją zobaczył we drzwiach, podniósł się z miną przygnębioną na jej przywitanie.

— Słuszałeś? — spytała go przywitawszy się — jakie mnie spotkało nieszczęście?

— Czytałem w gazecie — odpowiedział — i chciałem pójść do ciebie, ale mnie żona nie puściła, jest bardzo zła na ciebie, żeś nie przyszła na chrzciny Frania.

— To niesłusznie z jej strony — płakała Anastazja — ja wtedy naprawdę byłam chora i nie mogłam. A czy nie posłałam dla małego pięknej wiązanki? A teraz ze mną bardzo źle! Wszystko, wszystko mi zabrali! Literalnie umieram z głodu.

Zaczęła rzewnie płakać.

Brat patrzył na nią ze współczuciem, ale nie bez pewnej wyższości.

— Tak, tak! — zaczął moralizować — w szczęściu nie chciałeś nas znać, teraz dopiero zaczynasz się przyznawać, jak ci bieda dopieka. Ale ja nie jestem zły człowiek, ja, twój rodzony brat, przebaczam ci, i zrobiłbym dla ciebie wszystko, tylko moja żona — ty wiesz — ta wściekła baba — ona ciebie teraz nienawidzi. Uważaj, żeby cię tu nie zobaczyła, bo będzie awantura.

— Umyślnie szłam przez podwórze — uspakajała go pokornie Anastazja — żeby jej nie leźć w oczy, ale ty, mój złoty, ty zlituj się nad rodzoną siostrą i nie daj mi marnie zginąć. Jeżeli ty mi nie pomożesz, przyjdzie mi umrzeć z głodu.

— Hm, mruknął niezadowolony Rother — a więc z tobą już tak źle? Nie wiem nawet jak ci mam pomóc, bo moją kasę prowadzi, jak wiesz, moja żona.

— A ty sam nie masz nic, cobyś mi mógł dać? — nalegała Anastazja, płacząc.

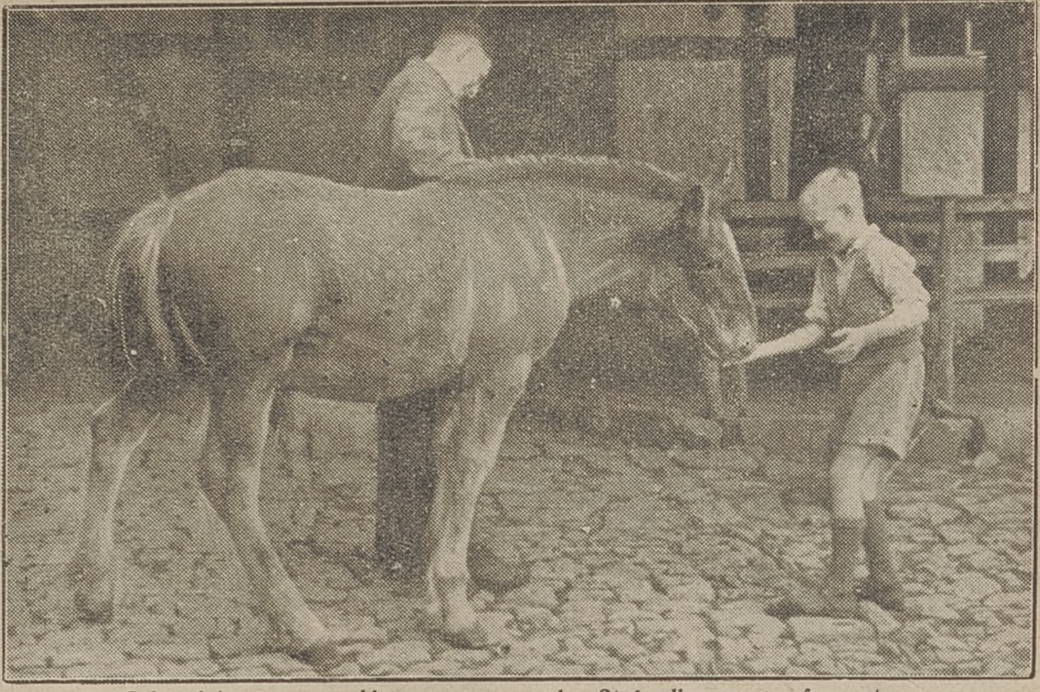
Wzruszając ramionami szukał Rother po kieszeniach i znalazł wreszcie w kamizelce dwa guldeny, które dał siostrze.

— Więcej nie mam — rzekł — ale może Beuerowa ci pożyczy.

— Właśnie wracam od niej — szlochała Anastazja — mało mnie ze schodów nie zrzuciła.

— Hm, to fatalnie — kłopotał się introligator — do ciotki Fanki nie pokazuj się nawet, bo ona przysięgła, że cię wyrzuci jak przyjdziesz, zaś do Maryni Schmidt nie masz po co iść, bo ona sama nic nie ma. Co zrobisz?

— Albo ja wiem? — odpowiedziała ponuro. — Zdechnę z głodu, albo z zimna, — Bój się Boga — przestraszył się brat — nie mów tak. Może mi się uda pod jakimś pretekstem wydobyć od żony trochę pieniędzy, to ci przyniosę. Gdzie teraz mieszkasz ?


Cukry i inne przysmaki przeznacza mały Staś dla swego faworyta.

Wymieniła mu swój adres i podziękowawszy, poszła, ku ogromnemu zadowoleniu Rothera, który z trwogą spoglądał na drzwi i obawiał się, że lada chwila wejdzie żona i wyprawi mu awanturę.

Anastazja wiedziała, że na słaby, chwiejny charakter brata pantoflarza, nie mogła liczyć.

Rzeczywiście, dni mijały, pieniądz ostatni przeszedł, a pomoc nie przyszła znikąd.

W pogodny dzień zimowy, gdy śnieg iskrzył się w świetle słonecznym brylantowym blaskiem, wyszła chwiejnym krokiem na ulicę, aby w Dunaju wyszukać miejsce, gdzieby mogła wskoczyć w rzekę i zakończyć w ten sposób nędzny żywot.

Idąc biegiem rzeki i myśląc o śmierci, wracała pamięcią w dawne lata.

W dzieciństwie, gdy z bratem spędzała chwile w nieświadomości, była szczęśliwa. Potem jeszcze długi czas wiodło się jej dobrze. Matka nie chciała, żeby Anastazja męczyła się tak, jak ona przy kuchni i balii, lecz kazała ją kształcić.

Anastazja uczyła się gry na fortepianie, śpiewu i francuskiego, aż raz dostała posadę. Zdawało jej się, że jest u szczytu wymarzonego szczęścia. Ale chlebodawcy jej ludzie źli i kapryśni, dawali jej się we znaki; tymczasem rodzice pomarli, nie było do kogo wracać już do domu. Trzeba było zostać na posadzie, lub szukać innej.

Tak zeszło jej życie na służbie, w której pod wpływem upokorzeń zatraciła wszelkie szlachetniejsze dążenia, aż wykorzystała położenie baronowej Wimpfen, by się wzbogacić, niestety nie na długo.

Teraz znalazła wreszcie miejsce samotne, gdzie nie było wielu przechodniów.

Złożyła ręce i pomodliła się o przebaczenie za grzechy, które popełniła i za ten grzech, który jeszcze teraz pełnić chciała — ostatni.

Wtem jakaś ręka spoczęła na jej ramieniu.

— To ty, Anastazjo? — spytał głos uprzejmy — co ty tu robisz?

Anastazja odwróciła się i poznała rysy dalekiej swej krewnej.

— Daj mi spokój — rzekła, tępym wzrokiem patrząc na nią — ja jestem już taka biedna, że ze mną żaden człowiek nic już nie ma wspólnego.

— I ja tak samo — odpowiedziała młoda kobieta; na ramieniu miała koszyk z kapeluszami słomianymi — czy jeszcze nie otrzymałaś swoich pieniędzy z powrotem!

— Nie dostałam i nie dostanę — odpowiedziała Anastazja ponuro — pracować już nie mogę. Nie pozostaje mi nic innego, jak rzucić się do rzeki.

Wyglądała tak nieszczęśliwie, że nie można było wątpić o szczerości jej słów.

— Anastazjo! — przestraszyła się kobieta — bój się Boga! Jeżeli ci się źle powodzi, dlaczego nie udasz się o pomoc do krewnych?

— Jak psa mnie wypędzili — szlochała Anastazja. — Jak pies chcę się utopić.

Wyrwała się jej i chciała wskoczyć do wody.

Kobieta schwyciła ją silniej i nie puściła.

— Anastazjo, moja kochana — prosiła szczerze — nie popełniaj tak wielkiego grzechu. Jeśli nie masz się gdzie podziać, to chodź do mnie. W mojej małej izdebce znajdzie się miejsce i dla ciebie.

— Ty masz dość trosk własnych — odparła ponuro Anastazja — co sobie będziesz jeszcze mnie brać na głowę.

— To już moja rzecz! — zawołała Rózia — ja ci się nigdy nie narzucałam, ale teraz ciebie już nie puszczę. Pomyśl, chodziłyśmy razem do szkoły, bawiłyśmy się razem, dzieliłyśmy się jadłami — kochałyśmy się. Chodź,przypomnimy sobie te piękne czasy!

Wzięła ją pod ramię i zaprowadziła napowrót do miasta.

Przed dużym budynkiem fabrycznym Rózia zatrzymała się zakłopotana.

— Zrób mi tę grzeczność — rzekła po chwili namysłu i wejdź tu ze mną.

Obawiała się zostawić Anastazję samą.

Anastazja jednak nadzwyczajnym sercem tej osoby tak była ujęta, że dała sobą kierować.



Uśmiechnęta reprezentacja eleganckich toalet i luksusowych psów.

W dziedzińcu fabrycznym wszyscy robotnicy, których spotkały, pozdrawiały Rózię uprzejmie.

W jednej dużej izbie Rózia Beuer złożyża z pleców koszyk i oddawała robotę. Szyła bowiem kapelusze dla fabryki. Pochwalono ją za robotę, zapłacono i wydano nowy materiał do obrobienia.

Na dworzec Rózia Beuer pokazała Anastazji z wesołą miną otrzymane pieniądze.

— Widzisz? — rzekła — nie mamy się co kłopotać.

Była taka wesoła, jak gdyby ją spotkało wielkie jakieś szczęście.

Kupiła bułek i kiełbasy i zaprowadziła Anastazję do ubogiej izdebki na czwartym piętrze starego domu.

Pomogła jej wejść po schodach, a przytem przez całą drogę, miała takie zadowolenie na twarzy, że miło było na nią patrzeć.

Otworzyła drzwi swego mieszkania.

Była to mała izdebka, uboga, ale chędoga i czyściutka, a przez to ogromnie miła.

Na oknie w wazonikach kwitły kwiaty, a między nimi w klatce śpiewał kanarek.

Na białej ścianie nad łóżkiem fotografia zmarłego męża Rózi, którego całą duszą kochała i opłakiwała mimo, że był niepoprawnym nicponiem i sprawiał jej wiele zmartwienia.

Rózia posadziła Anastazję na kanapie, zrobiła jej kawę i przekąskę i jadła z nią razem.

Pierwszy kęs, który Anastazja wzięła do ust, obudził w niej na nowo instynkt samozachowawczy.

Dzień przedtem jadła suchy chleb, a tego dnia nic jeszcze nie miała w ustach. Toteż zajadała z wilczym apetytem, a Beuerowa przypatrywała się temu z widocznym zadowoleniem.

Posiliwszy się, zadumała się Anastazja ponuro.

— Rózia — rzekła po chwili — to nie może tak być, żebym ja ci siedziała na karku. Nie jestem zdolna do pracy i nic nie mogę zarabiać.

Bardzo wiele mi możesz pomóc — odpowiedziała Rózia — jeżeli posprzątasz w izbie i będziesz doglądać moją kuchenkę, to zrobisz mi bardzo wiele, bo ja przez ten czas będę mogła szyć i więcej zarobię.

Anastazja płakała.

Przenikała ją głęboka skrucha, a we łzach topniała twarda opoka, którą przez lata upokorzenia okryło się jej serce.

— Ty, najbiedniejsza ze wszystkich, ty jedna chcesz dzielić ze mną swój suchy chleb. Niech ci to Pan Bóg stokrotnie wynagrodzi!

Rózia pogładziła jej włosy, potem posprzątała ze stołu i zaczęła na noc przygotowywać pokój.

Dla Anastazji pościeliła łóżko, sobie chciała pościelić na kanapie.

Niebawem Anastazja na czystej pościeli po raz pierwszy od długiego czasu w ciepłej izbie usnęła spokojnie.

Rózia nie mogła spać.

Zrazu nadsłuchiwała, aż spokojny, regularny oddech uspokoił ją.

Potem zaczęła trwożnie obliczać, jak to teraz poradzić sobie wobec zwiększonych wydatków.

Jakoś to będzie — pomyślała sobie. — Zacznę robotę wcześniej i wcześniej ją ukończę. A tej chustki co ją sobie chciałam kupić, tak mi znowu koniecznie nie potrzeba. Mogę więc wydać tę oszczędności, które sobie nakładałam.

Wśród podobnych myśli usnęła również, a z nieba aniołowie schodzili do cichej izdebki, by czuwać nad jej snami.

Ta niepozorna niewiasta miała skarby, których niejeden by jej pozazdrościł. Miała bowiem serce pełne chrześcijańskiej miłości, poświęcenia i miłosierdzia.

ROZDZIAŁ CCV

Nieudana próba

Marynia uciekając z Berlina, nie miała odwagi wracać do Austrii i kupiła sobie bilet do Wrocławia.

W tym samym przedziale było dwóch panów. Jeden wysiadł na najbliższej stacji, drugi pozostał. Był to młody, zdaniem rudej Maryni, bardzo elegancko ubrany pan.

Futro niezapięte, pozwalało widzieć gruby, złoty łańcuszek, a na palcach miał pierścienie niemałej wartości.

Pasażer drzemał trochę, potem otworzył oczy i spoglądał na swoje vis à vis.

Musiała mu się Marynia podobać, bo zaczął z nią uprzejmą konwersację.

— Widzę, że pani nie ma ochoty spać — rzekł grzecznie — może więc pani pozwoli pomówić ze sobą, bo w ten sposób czas przyjemnie mija.

— Nie mam nic przeciwko temu — odpowiedziała Marynia.

— Czy wolno wiedzieć, dokąd pani jedzie — spytał pasażer.

— Do Wrocławia.

— I ja — ucieszył się młodzian — czy pani z Wrocławia? Byłbym raczej sądził po wymowie, że pani z Austrii.

— Pochodzę też z Wiednia — odpowiedziała Marynia, nie widząc konieczności ukrywania się.

— Ach, o Wiedniu ja zawsze marzę! Tam dopiero jest życie! Wrocław zaś, to nudna dziura. Prawda?

— Nie mogę sądzić, bo nie byłam jeszcze nigdy we Wrocławiu — odpowiedziała Marynia, która siliła się na dystynkcję.

— Pani pewnie w odwiedziny do przyjaciół?

— Nie mam tam żadnych znajomych — odrzekła Marynia, — jadę tam w sprawie spadkowej.

Uprzejmość młodzieńca wzrosła w dwójnasób. Przedstawił się jako agent z Wrocławia i zaofiarował jej swoje usługi.

— Czy wolno zapytać, czy pani już ma mieszkanie? spytał.

— Ach, nie — odpowiedziała cieniutko — a to fatalne dla samotnej panienki mieszkać w hotelu.

— Naturalnie — potwierdził gorliwie pan Ruthart — szczególnie dla osoby tak młodej jak pani, i posiadającej tyle zalet. Lepiej też może było by wziąć umeblowany pokój przy jakiejś przyzwoitej rodzinie. — Mógłbym pani zarekomendować taki pokój, nawet z wiktem.

— Ach, wdzięczna byłabym bardzo panu — odpowiedziała Marynia, przypuszczając słusznie, że o wiele bezpieczniej jest w mieszkaniu prywatnym.

— Siostra moja — opowiadał Ruthart — wdowa po wyższym urzędniku, wynajmuje pokój umeblowany osobom o nienagannej reputacji. W całym Wrocławiu nie znalazłaby pani lepszego mieszkania! Siostra moja otacza swoje lokatorki iście macierzyńską opieką.

Maryni niekoniecznie ta opieka była na rękę, ale udawała, że jest zachwycona i poprosiła pana Rutharta, żeby ją wprowadził w dom swojej siostry.

Rozmawiali o rzeczach obojętnych, myśląc przy tym co innego. Ruthart obliczał wysokość spadku towarzyszki podróży, a ona układała sobie plan na przyszłość.

Miała zamiar przez pewien czas prowadzić uczciwe życie, co dla niej miało urok, jak w ogóle dla człowieka wszystko, czego nie zna. Mając, jak sądziła — 12 tysięcy — mogła sobie na to pozwolić. Jeżeli się jej znudzi takie życie, to może w każdej chwili uciec.

We Wrocławiu towarzysz zaofiarował jej pomoc przy podjęciu pakunków i wprowadził ją w kłopot. Wywinęła się z tego, mówiąc, że kufer zostawiła w Berlinie i ma tu tylko kuferek ręczny.

Doróżkarz, któremu Ruthart podał adres, zawiózł ich na jedno z bardziej oddalonych przedmieść.

W ładnym domku, w ulicy, gdzie każdy dom miał ogródek, zapytał Ruthart służącej, która wyszła na spotkanie:

— Czy pani sekretarzowa jest w domu?

Marynia pomyślała sobie, czy też sekretarz jest naprawdę — wyższym urzędnikiem — jak opowiadał Ruthart.

— Jest — odpowiedziała chuda dziewczyna — sprzątamy właśnie.

W tej chwili zjawiła się pani Gebauer, widocznie podobna do pana Rutharta, stara, duża baba w zniszczonym szlafroczku i brudnym czepku.

W ręku miała szczotkę do zamiatania i ściereczkę do kurzu.

Dowiedziawszy się od brata o co chodzi, przyjęła Marynię z zapałem.

Zaprowadziła ją do porządnie umeblowanego, czysto utrzymanego pokoju, wymieniła wcale nie wysoką cenę za wikt i mieszkanie. Marynia zgodziwszy się i zapłaciwszy zadatek, natychmiast objęła mieszkanie. przedstawiła się jako panna Riedel i mówiła, że jest tu w sprawach spadkowych.

Ruthart pożegnał się, życząc Maryni, żeby się czuła szczęśliwą w nowym mieszkaniu, a siostra jego, zaofiarowała jej przekąskę.

Ale Marynia odmówiła, bo chciała już zostać sama gdyż za długo już jej było tego udawania.

Zamknęła drzwi za gospodynią, spuściła roletę w oknie, żeby nikt nie mógł zaglądnąć i wyciągnęła kamizelkę Józefa.

Chciwie wyciągnęła papiery z portmonetki i zaczęła liczyć. Było tam 5 tysięcy reńskich. Józef więc nic jeszcze nie wydał z tych pieniędzy.

Uśmiechnęła się z triumfem na myśl o tym, jaki on będzie wściekły, gdy się spostrzeże.

Przyszła jej chętka widzieć razem cały majątek, jaki posiadała.

Rozpięła więc stanik i szybko wyciągnęła spod stanika drugą paczkę banknotów.

Zdziwiła się.



Jaskółki zmęczone długotrwałym lotem na południe, przysiadły dla odpoczynku na drutach telefonicznych

Paczka nie miała tej formy, w jakiej ją schowała.

Marynia zbladła pod grubą warstwą szminki. Drżącą ręką podarła papier, w który paczka była zawinięta i — najgorsze jej oczekiwania sprawdziły się.

Zamiast pięknych banknotów, było tam kilka rachunków hotelowych/ i afisz z teatru berlińskiego.

Chwyciła ją straszliwa wściekłość. Miała ochotę krzyczeć i tłuc nogami o podłogę, ale musiała panować nad sobą, bo co by sobie pomyślała pani sekretarzowa Gebauer?

Zgrzytała zębami i przeklinała na czym świat stoi.

Ale pieniądz nieuczciwie nabyty, można było ostatecznie przeboleć. Pocieszała się, że może znowu gdzieś coś — zarobi — dość, że gniew jej minął dość prędko. Przeciwnie, miała nawet trochę respektu dla Józefa, że nie był taki głupi, jak myślała, skoro ją nawet tak sprytnie umiał oszukać.

Poprawiła sobie fryzurę, nałożyła świeżej szminki i weszła do drugiego pokoju.

Czysto, choć bez komfortu nakryty stół, czekał już na nią, a na stole ku ogromnemu jej niezadowoleniu, karafka z wodą.

Przez drugie drzwi weszła jej gospodyni także bardzo wyświeżona.

Zamiast brudnego czepka, miała bujną fryzurę z bujnych naturalnie przyczepionych włosów. Czarna wytarta suknia kaszmirowa przykryta była z przodu maleńkim fartuszkiem jedwabnym.

Powitawszy Marynię serdecznym uściskiem dłoni, stanęła przy swoim krześle i zaczęła odmawiać modlitwę, która się Maryni wydała nieco za długą, zwłaszcza, że zupa stygła na stole.

Z westchnieniem ulgi powtórzyła wreszcie za gospodynią — amen — i siadła do stołu.

Posrebrzaną chochlą nabrała pani Gebauer płynu z wazy i spytała uprzejmie:

— Lubi pani bulion? Mogę pani nalać pełen talerz? Nalała jej rzeczywiście po brzegi jakiegoś płynu, który, jak na szumną nazwę bulion, był zanadto mętny. Tłuste oczka na nim były tak rzadkie, jak oczy na puszczy, a gdzieniegdzie tylko tu i ówdzie wychylało się spod powierzchni smutne ziarnko ryżu.

Marynia obiecywała sobie w duchu, że nie będzie taka głupia, żeby przełknąć tę lurę, ale i następne potrawy, były również niezapraszające.

Drugie danie nazwane szumnie — filet, — to był mały zeschnięty kawałek pieczeni, który kilkakrotnie musiał być wygotowany na bulion. Do tego jakiś gęsty płyn o barwie atramentowej reprezentował sos, a kartofle, których było najwięcej, miały piękną nazwę: „młode ziemniaki mrożone“. Na osobnym talerzyku korniszony zastępowały jarzynę do mięsa i nosiły jakieś egzotyczne miano.

Marynia łatwo zrozumiały brak apetytu tłumaczyła bólem głowy, gdy tym czasem pani Gebauerowa z prawdziwym zapałem, godnym lepszej sprawy, zajadała i zmiatała wszystko co było na stole.

Skończywszy tę użyteczną robotę, skinęła uprzejmie głową dziękując za towarzystwo, potem wstała i stanąwszy znowu obok krzesła, jak przed obiadem, zaczęła w sposób gadatliwy dziękować Bogu za łaski i dobrodziejstwa.

Marynia z niecierpliwością czekała, kiedy ona powie — amen. — Doczekawszy się wreszcie, powiedziała, że ma coś do załatwienia w mieście i musi wyjść.

— Niedługo ja tam będę mogła wytrzymać u tej starej dewotki— pomyślała sobie, idąc przez ulice miasta i oglądając je.

Wstąpiła do eleganckiej restauracji i zapytała kelnera czy nie było tu jakiego pana w jasno popielatym płaszczu. Kelner odpowiedział naturalnie, że nie.

— A to pewnie zaraz przyjdzie — skłamała Marynia, siadając na uboczu przy stoliku. — Proszę o dwa nakrycia.

Kazała sobie podać zupy, a gdy ów pan w popielatym płaszczu nie przychodził, mimo, że kelner co chwila podbiegał do drzwi i go wyglądał — obstalowała sobie



Na rykowisku...

najdroższe i najlepsze potrawy. Przy tym popijała czerwone piwo, a po lodach, które kazała sobie podać na deser, zadysponowała szampana.

Zapłaciwszy rachunek, który wynosił przeszło 12 koron za cały obiad, drugie tyle za wino, dała kelnerowi suty napiwek i powiedziała:

— Ten pan, brunet w jasno popielatym płaszczu pewnie jeszcze przyjdzie. Proszę mu powiedzieć, że byłam tu i że poszłam na Schweidnitzerstrasse po sprawunki.

Wyszedłszy z restauracji, śmiała się do siebie błogo pod wpływem wina, smacznej uczty i wspomnienia, jak zaimponowała temu kelnerowi napiwkiem i jak go zaintrygowała tym panem w popielatym płaszczu, którego biedaczysko będzie wyczekiwać do wieczora.

Dopiero, gdy zobaczyła, że ludzie zwracają uwagę na jej humor, opamiętała się i przybrała minę pełną powagi.

Zanim oglądnęła jeszcze ładniejsze ulice miasta i zakupiła trochę wędlin i bułki, żeby nie zginąć z głodu u swojej gospodyni i wróciła do domu, był już wieczór.

Pani Gebauer przywitała ją prawie czule.

— Już się niepokoiłam — rzekła — pani za swoimi sprawami spadkowymi była w mieście?

— Tak jest — odpowiedziała Marynia, przygotowana na to pytanie — byłam u adwokata.

U którego? — zapytała pani Gebauerowa — jeżeli wolno wiedzieć.

Marynia wymieniła nazwisko jednego z adwokatów, którego szyld widziała w mieście.

— Bardzo dobrze pani trafiła — zapewniła sekretarzowa — a wolno zapytać, jak sprawa stoi.

— Bardzo dobrze — chwaliła się Marynia — pieniądze moje już zapewnione.

— A dużo? — zapytała ciekawie gospodyni.

— Sto tysięcy marek — kłamała wesoło Marynia, a pani Gebauerowa mało nie upadła ze zdumienia i szacunku.

Mimo to jednak kolacji nie dała sutszej niż obiad. Herbata była blada i mętna, cukier w drobnych kosteczkach; na talerzyku leżały małe kromki chleba powleczone bardzo przeźroczystą warstwą słonego masła, a na drugim trochę kiełbasy, pokrajanej również w cienkie plasterki.

Tylko modlitwa przed i po kolacji wydała się Maryni jeszcze dłuższą niż poprzednio. Widziała, że dobrze zrobiła, kupując sobie wędliny na kolację, bo była by rzeczywiście musiała iść głodna do łóżka.

Po kolacji, przy której Marynia nic prawie nie jadła, a gospodyni okazała i teraz wspaniały apetyt, pani Gebauer, przyniosła do pokoju paczkę książek.

— Proszę pani — rzekła poważnie, prawie z patosem — jest to zwyczaj u mnie, że z moimi lokatorkami wieczorem, czytuję poważne, pouczające książki. Mam nadzieję, że pani to będzie zupełnie po myśli. Zacznijmy zatem od tragedii Schillera.

Nie czekając odpowiedzi, zaczęła czytać z ogromnym przejęciem się i nieznośną deklamacją.

Marynia naturalnie nie wytrzymała długo i po kilku minutach już przerwała jej, mówiąc, że ją głowa boli i musi iść do siebie.

— Szkoda — zawołała pani Gebauer — to jutro będziemy czytać dalej.

Marynia udawała, że również bardzo żałuje, ale w kilka chwil po tym, zamknięta w swoim, pokoju zajadała swoją kolację, którą sobie przyniosła z miasta i żałowała, że nie ma wina.

Nazajutrz zbudziła ją jakaś rozmowa, prowadzona szeptem za drzwiami.

Pocichutku wyskoczyła z łóżka i zaczęła podsłuchiwać.

— Przysięgam ci, że 100 tysięcy — szeptała pani Gebauer — zresztą możesz się dowiedzieć, u którego z pisarzy adwokata — tu wymieniła nazwisko tego adwokata, o którym wczoraj mówiła Marynia.

— Ach, to świetnie! Miałem pyszny nos, żem ją tu zawlókł — zachwycał się Ruthart — że jej pieniądze bardzo mi się przydadzą. Wiesz co? Wyjdę dziś z nią na spacer, a ty nam będziesz towarzyszyć.

— A co mi dasz za to, jak będę ci pośredniczyć w partii? — zapytała pani Gebauer.

— No, zobaczymy — odpowiedział Ruthart.

— Ja tak nie chcę — kłóciła się pani Gebauer — daj mi na piśmie, że po ślubie dasz mi tysiąc marek, a ja ci przyrzekam, że użyję wszystkich środków na to, by ci ją złapać.

— Szkoda, żeś sobie odrazu nie kazała dać połowę, droży! się Ruthardt.

— Dość chyba jeszcze zostanie dla ciebie — przekonywała Gebauerowa — a ja ci za to przyrzekam spowodować także nieporozumienie z Jadwigą Schneider, która w siebie wmawia, że się z nią ożenisz.

Musiał to być argument przekonywujący, bo Marynia słyszała skrzypienie pióra: to Ruthart podpisywał zobowiązanie.

— Masz — rzekł do siostry — a po obiedzie bądźcie ubrane. Pamiętaj Amalio, nie ubierz się jak straszydło.

Marynia słyszała jak odchodził i rzuciła się napowrót do łóżka, gdzie nakryła się kołdrą, żeby stłumić śmiech pusty, który ją porwał.

A to szopa! — myślała sobie — szkoda, że to tego nikt ze mną nie słyszał. Teraz dopiero widzę, jak jestem pożądania godną! Tysiąc reńskich, za samo pośrednictwo! Nie, to już Józef nawet nie byłby taki głupi.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

CHWILA ZASTANOWIENIA

Kwadrat magiczny

uł. M. Z.

1) tytuł dzieła polskiego pisarza
2) Pomieszczenie dla krów
3) Dobry gatunek wina
4) Część Czechosłowacji
5) In. pierrot

Bilety wizytowe

Piotr Kichen

G. Gedapo

St. Grzeramiz

Odgadnąć zawód tych panów.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do środy, 20 października br.

Rozwiązanie zadań z numeru 40 „Moich Powieści": Łamigłówka: Zofia, Janusz. Zagadka: Radość.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Wiśniewski Ludwik — Katowice, Milecki Bronisław — Grudziądz, Chodzierski Jan — Grudziądz, Piotrowski Ignacy — Kowalewo, Cuma Zbigniew — Poznań, Król Maciej — Brześć.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp. Cumie z Poznania i Mileckiemu z Grudziądza.

ADAM CZEKALSKI

3)

Milion w złocie

POWIEŚĆ

— Pani zawsze gniewna na mnie? I o co? Czym zawiniłem w oczach pani?

Głos Borowicza miał w sobie nutę pewnej jak gdyby rzewności i żalu.

— Gniewna? A gdyby? — rzuciła wyzywająco.

— Ale o co?

— Choćby o to, że zaczepia mnie pan na ulicy.

— Prosiłem o zezwolenie i pani nie odmówiła mi wręcz, dlatego pozwoliłem sobie zbliżyć się.

— Trzeba być przecie choć na tyle subtelnym i umieć wyczuć inteligencję, aby bez wyraźnego zakazu, wypowiedzianego głośno zrozumieć, że się nie jest nader mile widzianym.

— Gdy się kocha, nie zwraca się wcale uwagi na niuanse.

— A jednak trzeba nieraz na nie zważać.

— Ach, tu nie o to chodzi! Zresztą nie mówmy o tych sprawach. To postaci rzeczy nie zmieni. Pragnąłem z panią porozmawiać z wolą lub bez woli i dopiąłem tego, a wszystko nic mnie nie obchodzi.

— Panie!...

— Słucham panią.

— Czego pan ode mnie chce? Dlaczego mnie pan prześladuje?

— Ja — panią prześladuję?

— Tak, prześladuje mnie pan. Nie życzę sobie bynajmniej jego towarzystwa i proszę mi wierzyć, iż zrobisz mi pan największą przyjemność, jeśli uwolnisz mnie od siebie.

— Nie, pani, choćby się pani na mnie miała nie wiem jak gniewać, ja nie odejdę, bo pragnę z nią porozmawiać o wielu — wielu sprawach.

— Ja nie chcę bynajmniej słuchać tego, o czym chce mi pan mówić.

— O niczym? Zgoła o niczym?

— Tak, zgoła o niczym.

— Więc i o ojcu swoim, którego pani nigdy w życiu swoim nie widziała, nie chce pani słuchać?

Lila zadrżała i zmieniła od razu ton.

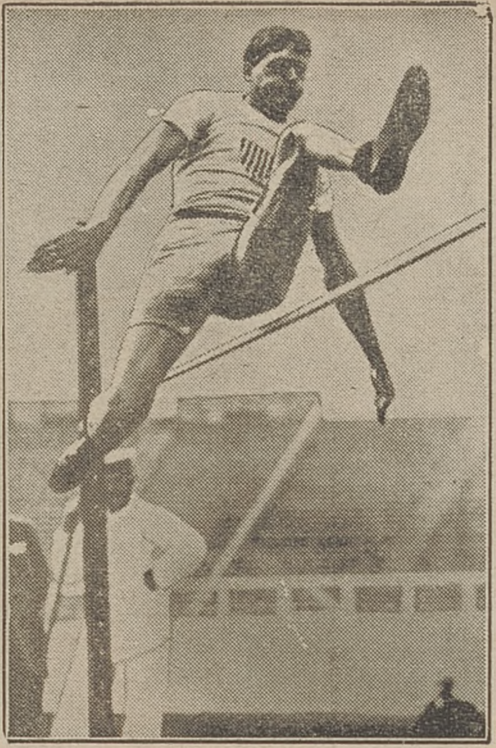
— Czyżbyś pan... wiedział cokolwiek? Czyżbyś pan spotykał gdzieś na szerokim świecie mojego ojca? Powiedz pan, czy on żyje? Gdzie się podziewa? Dlaczego do nas, do matki nie pisze jednego słowa od lat?

— Ach, zatem godzi się pani porozmawiać ze mną?

— Jeśli o te sprawy chodzi nie tylko chcę z panem porozmawiać, ale proszę pana o informacje, objaśnienie, o wszystko cokolwiek jest panu wiadomym o moim ojcu... Sądzę, że pojmuje pan mój niepokój i moją ciekawość i że zechcesz nie odmówić mej prośbie...

— Ja... wiem niewiele. I nie o tym chciałem z panią porozmawiać, ale o czym innym, o rzeczy dla mnie ważniejszej, daleko ważniejszej...

Głos mu drżał nutą jakiejś głębokiej melancholii, jakiegoś jak gdyby głębokiego żalu i tęsknoty jednocześnie. Lila spojrzała mimo woli na twarz Borowicza i uderzyła ją zmiana w jego obliczu. To



Zmarł stary olimpijski zawodnik R. E. Ewery, wielokrotnie odznaczony złotym medalem za skoki wzwyż i w dal.

była to już twarz dawna, twarz ostra, tchnąca siłą i energią, twarz jak gdyby wykuta z kamienia, z ciężkiego granitu wyciosana dłutem mistrza, ale owiana smutkiem zadumy, rozrzewnieniem, tak w ogóle rzadkim u tego człowieka.

— Czy pani wie — mówił dalej Borowicz głosem łagodnym, ciepłym, do gruchania gołębiego podobnym — czy pani wie, że ja przyjechałem tu z bardzo daleka jedynie po to, aby panią widzieć, z panią móc porozmawiać?...

— Aby ze mną móc porozmawiać? A skądże pan mógł wiedzieć, że ja w ogóle istnieję na tym świecie? Przecież poznałam pana zaledwie przed kilku tygodniami!

— Cóż z tego? Nie zawsze trzeba poznać się z sakramentalnym uściskiem dłoni i wymienieniem swego nazwiska, aby się znać wieki całe.

— Wieki całe? Nic nie rozumiem.

— Tak, pani, wieki całe. I ja właśnie mam takie wrażenie, iż znam panią nie od dzisiaj, nie od kilku tygodni zaledwie, ale wieki, całe wieki.

— To jakaś mistyka dla mnie zgoła niezrozumiała. Proszę, objaśnij mnie pan czysto po ludzku.

— Czyż ja mówię tak zawile, iż mnie pani nie pojmujesz? Nie używam przecież żadnych naukowych terminów, abym musiał tłumaczyć się jaśniej. Wszak mówię zrozumiale: przyjechałem do Łodzi, do miasta, o istnieniu którego wiedziałem jedynie z geografii, z bardzo daleka — to przecież łatwe do zrozumienia, czy nie tak? Dalej: przyjechałem po to, bo wiedziałem że ja tu panią spotkam, że ją poznam i już nawet przed rokiem mógłbym powiedzieć pani, gdzie i w jakich okolicznościach będę miał możność panią poznać i rozmawiać z nią.

— Panie — zawołała Lila głosem mocno wzruszonym — panie, więc... więc pan rozmawiał o nas przed rokiem z moim ojcem?

— Nie, pani, z jej ojcem rozmawiałem dawno, bardzo dawno temu, na wiele lat przed dniem dzisiejszym, ale tu nie o to chodzi...

— Może panu, ale mnie właśnie najbardziej i bodajże jedynie chodzi o to, aby mi pan powiedział coś o moim ojcu, czy żyje, czy zdrowy i... i czemu nie pisze do nas od lat, od wielu — wielu lat?

— To, co wiem, zawsze i najchętniej pani powiem, ale nim to się stanie, zechciej pani odpowiedzieć na pytania, które będę miał zaszczyt jej postawić.

— Pytaj pan.

— Czy pani byłaby skłonna pokochać mnie taką miłością, jaką ja miłuję panią od dawna? Czy zechcesz pani być moją wierną towarzyszką w życiu?

Pytania te padły na biedną i drżącą z podniecenia i oczekiwania Lilę jak grom z jasnego nieba. W pierwszej chwili nie wiedziała zupełnie co ma na to rzec. Zrozumiała jeno, że ten nieznany jej prawie człowiek zaczyna przekraczać wszelkie granice przyzwoitości, że usiłuje ją, — ją, która nad wszystko w życiu była kochana przez swojego Jurka i wzajem jego kochała — obrazić podobnymi pytaniami. To już nawet przecież nie oświadczyny, które mogłaby znieść, sprawdzając je do oświadczyn człowieka sobie obojętnego, nad którymi zazwyczaj przechodzi się zwykle do porządku.

— Panie!... Jak pan śmiesz!...

— Czy panią to obraża? Czy nie jestem godzien zostać pani mężem?

— Dość tego! Racz mnie pan uwolnić od swego towarzystwa.

— Jeszcze słówko... Więc pani kategorycznie odrzuca moją propozycję?

— Jak najbardziej kategorycznie i stanowczo.

— Zostawię pani dwa dni czasu do namysłu i — obyś nie żałowała odmowy.

— Ośmielasz mi się pan grozić?

— Nie, ja tylko ostrzegam.

— Ale to ostrzeżenie nosi wszelkie cechy groźby.

— Grozić zwykli tylko ludzie słabi, ostrzegać mocni.

Lila popatrzyła na twarz Borowicza i zdawało jej się, jakoby twarz ta nie była jej obcą, jakoby widziała już kiedyś taki sam wyraz zadumy na twarzy mężczyzny podobnego do tego lekarza, który nie praktykował, nic w ogóle nie robił, a jednak był doskonale sytuowanym. Ale kiedy i gdzie widziała twarz podobną?

— Zatem — do zobaczenia za dwa dni — rzekł Borowicz i uchyliwszy kapelusza na pożegnanie, oddalił się szybko.

Lila wróciła do domu zasępiona i chmurna. Rozmowa z doktorem Borowiczem zrobiła na niej bardzo przykre wrażenie. Wmawiała sama sobie, że nie ma najmniejszego sensu przejmowania się rozmową z człowiekiem, który więcej był fanfaronem, niż mocarzem, więcej udawał niż był naturalnym, ale mimo to coś silniejszego nad jej wolę zmuszało ją do myślenia zarówno o rozmowie całej, jak i o ostrzeżeniu wypowiedzianym przed chwilą.

Dwa dni czasu w ogólnej rachubie ludzkiej — nie jest wiele. Przechodzą one bez śladu i pamięci nawet po sobie nie pozostawiają. Ale tym razem dla Lili te dwa dni czasu pozostawione jej przez Borowi-



Młodzież angielska niechętnie garnie się do szeregów w wojsku. Toteż poszczególne formacje wojskowe prześcigają się w propagandzie, by kaptować sobie rekrutów. Na zdjęciu fragment pochodu propagandowego na ulicach Londynu.

cza zdały się być co najmniej dwoma miesiącami. A w miarę zbliżania się terminu wyznaczonego przez Borowiczą, Lila stawała się coraz więcej zdenerwowana, coraz więcej niespokojna i chwilami zbierał w niej przedziwny strach, którego nie umiała sobie zgoła wytłumaczyć.

W drugim dniu pozostawionym jej do namysłu ogarnął ją jakiś przedziwny lęk, lęk graniczący niemal z psychozą. Instynktownie bała się wszystkiego: głośniejszego słowa matki, skrzypnięcia drzwi, klaksonu samochodowego, dźwięku że'aztwa przebiegającego ulicą tramwaju — wszystkiego. Postanowiła w ogóle nigdzie nie wychodzić, krokiem z domu się nie ruszać, aby nie spotkać Borowicza i nie być zmuszoną do odpowiedzi na pytania, które jej był postawił przed dwoma dniami. Lecz w godzinach popołudniowych ogarnął ją tak wielki niepokój, że nie mogła znaleźć sobie miejsca w domu. O przesiedzeniu tutaj do wieczora nie mogło być mowy. To też, prawie nie zdając sobie sprawy ze swoich czynności, Lila ubrała się szybko do wyjścia i postanowiła przejść się nieco.

Wyszła na ulicę Piotrkowską, rojną i gwarną w tej chwili. Wieczór, choć styczniowy, ciepły był nadzwyczaj, jak w marcu. Roje ludzi przewalały się falami od Przejazdu do Placu Wolności, zajmując całe chodniki. Środkiem przebiegały tramwaje i pędziły samochody, słowem, ruch panował nadzwyczajny. Lila szła mechanicznie przed siebie, jak gdyby w jakiś dziwnym somnambulicznym śnie i zdawała się nie widzieć ani mijających ją tłumów, ani nawet całego tego niezwykłego ożywienia ulicznego przy odwieczerzu tak ciepłym, jakby wiosennym. Ale w pewnej chwili doznała odczucia, jakby ktoś na nią patrzył wzrokiem, który zniewalał i zmuszał do myślenia o tym nieznajomym człowieku, którego oczy kierowały niemal jej krokami. Zatrzymała się. Następnie odwróciła głowę i zobaczyła Borowicza, idącego prawie tuż za nią.

— Dzień dobry pani — powitał ją doktor, nie pytając wcale o zezwolenie towarzyszenia i wymawiając owe konwencjonalne trzy słowa takim tonem, jak gdyby już z góry umówili się byli, że właśnie tutaj spotkać się mają.

— Ach... to pan!

— Czyż nie umówiliśmy się, że spotkamy się za dwa dni, a ja usłyszę wyrok na siebie z uroczych usteczek łaskawej pani?

— Tak... podobno coś takiego między nami było przed dwoma dniami.

— I jakże znajduję dzisiaj panią? Czy łaskawiej dla mnie usposobioną?

— Czyż nie dałam panu swej odpowiedzi przed dwoma dniami? Czy to panu nie wystarcza? Panie... dlaczego pan mnie prześladuje?

— Ja panią prześladuję? Czyż intencję moje nie są najszczersze, z jakimi młody człowiek przystępuje do młodej kobiety, składając u jej stóp swoje serce i wszystko, cokolwiek posiada? Czyż za podobne intencje można się gniewać? Powiedz pani sama, rozważ to w swoim serduszku.

Lila czuła najwyraźniej i najbardziej bezpośrednio, że głos Borowicza obezwładnia ją, że działa zniewalająco, a jego oczy, te dziwne zielone oczy, płonące w ciemności niby nafosforyzowane, przymuszają do odpowiedzi przychylnej dla niego. Czuła to i czuła jednocześnie, że musi bronić się wszystkimi siłami przeciwko temu człowiekowi, musi bronić swojej miłości do Jurka. Otrząsnąwszy się przeto, odrzekła stanowczo:

— Panie, wyrządzi mi pan największą łaskę, jeśli raczy zostawić mnie w spokoju. Ja pana nie kocham i nie pokocham nigdy.

— Dlaczego?

— Dlatego, bo mam jedno tylko serce, a to już dawno oddałam komu innemu.

— Czy to ostatnie pani słowo?

— Tak, panie. Więcej nie mam mu nic do powiedzenia. Żegnam.

— Jeszcze chwilkę racz mi pani poświęcić.

— Słucham — zatrzymała się Lili wahająco na moment.

— Radzę pani zastanowić się... jestem skłonny dać jej jeszcze dwa dni czasu do namysłu, bo... bo żal mi pani.

Lila parsknęła śmiechem i oddaliła się szybko. Borowicz stał chwilę na chodniku i wpatrywał się w oddalającą się przed nim postać, poczem zawrócił i poszedł w przeciwnym kierunku. Naogół był spokojny i chłodny, ale gdyby kto miał moc zajrzenia do jego serca, przeraziłby się zapewne burzy, która w nim szalała.

— A jednak musisz być moją, musisz — powtarzał w myślach. — Ja wolę twoją ujarzmię i służyć sobie każę, a wtedy biada ci!

Po chwili przystanął na chodniku; stał tak przez jeden krótki moment, poczem skinął na przejeżdżającą taksówkę i wskoczywszy do niej, kazał się wieźć do domu.

IV

NIEWIDZIALNY BICZ

Była godzina jedenasta wieczorem. Pani Krupińska czuła się dziś jakoś osłabiona i wyczerpana całodzienną intensywną pracą w kantorze, więc ucałowawszy córkę w czoło na dobranoc, poszła do swojego pokoju, aby spocząć. Lila siedziała jeszcze czas jakiś, przeglądając czasopismo ilustrowane, poczem, odrzuciwszy je na bok, sięgnęła po leżącą obok sakiewkę, wydobyła z niej dzisiejszy list od Jurka i rzuciła go na łóżko, aby raz jeszcze przeczytać. Potem wolno zaczęła się rozbierać do spania, uśmiechając się w myślach do zapowiedzi przyjazdu, o czym donosił jej narzeczony. Przykra rozmowa z Borowiczem dawno została zapomniana i nawet śladu po sobie nie zostawiła. Lila w tej chwili zdawała się w ogóle nie wiedzieć o istnieniu Borowicza. Wszystkie jej myśli biegały do Jurka i przebywały z nim, wszystkie myśli jemu były poświęcone, nie dziw przeto, że nie było w jej mózgu miejsca na myśli o czymkolwiek innym. Jurek był jej królewiczem z bajki od wielu — wielu lat. Poznali się jeszcze w swojej najwcześniejszej młodości pewnych wakacyj, które Lila spędzała u wuja Jacka na wsi. Przechodzili rozmaite koleje życia, radosne i smutne ,zwierzali się w listach do siebie ze swoich nawet najdrobniejszych trosk i kłopotów i nieodmiennie byli sobie wierni. Gdy Jurek skończył naukę i obrał karierę wojskową, przyjechał pewnego razu do Łodzi i wtedy to oświadczył się zarówno Lili, jak i matce. Młodzi kochali się od dawna, ale nigdy nie mówili sobie o tym. Dobrze im było ze sobą zawsze, po cóż mieli zatem mówić o tym, że im jest dobrze? Czy niedość, że im było dobrze?

Lila wspomina teraz te wszystkie okresy ich znajomości, przyjaźni, miłości i uśmiecha się radośnie do wspomnień dawnych, które wstają przed nią jak żywe i zdają się być tak realne, tak wyraźne, jakby te wszystkie wspomnienia z najwcześniejszych lat młodości nie były bardzo dawnymi wspomnieniami, ale wspomnieniami zaledwie z wczoraj.

— Jak to błogo jest być kochaną — mówi do siebie Lila i pobiegłszy do stoliczka nocnego, porywa fotografię Jurka i przyciska ją mocno do piersi. Potem staje przed lustrem i przemawia do swoje-

go chłopca w słowach najczulszych, najcieplejszych, na jakie tylko zdobyć się może kobieta kochająca.

— Za parę dni przyjedzie Juruś do swojej Lili — szepce do fotografii, — przyjedzie i będzie taki dobry, taki bardzo kochany, taki najmilszy, taki mój i tylko mój...

A lekusieńko uśmiechnięta twarz pana porucznika lotnictwa zdaje się odpowiadać na to :„tak, twój i tylko twój". Lili się wydaje, iż „pan porucznik" naprawdę słowa te wypowiedział, więc znowu tuli martwy papier do piersi i rozradowana ogromnie, kończy rozbieranie i siada na brzegu łóżka, gdy nagle...

Nie, trudno jest oddać w słowach dostatecznie mocnych to wszystko, co stało się nagle. Oto Lila uczuła nagle, jak gdyby ktoś smagnął ją boleśnie jakimś rzemieniem przez plecy. W pierwszej chwili syknęła tylko z bólu i wystraszonym wzrokiem rozejrzała się dokoła, nic nie rozumiejąc. Wzięła to za przywidzenie, najzwyczajniejsze przywidzenie. Lecz nie zdążyła jeszcze ochłonąć z pierwszego wrażenia, gdy znowu padł na nią nowy cios, jeszcze bardziej piekący, jeszcze bardziej bolesny.

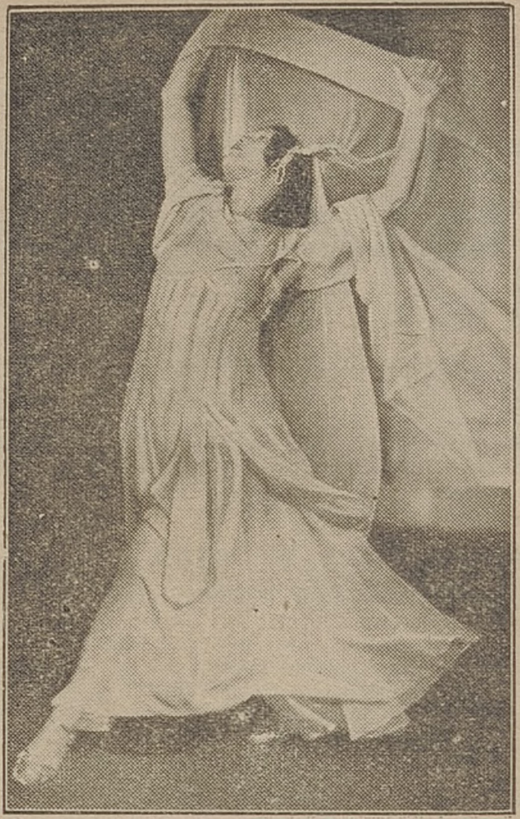
Zerwała się gwałtownie z miejsca i podbiegła do lustra. Jednym szarpnięciem zdarła z siebie szlafroczek i zobaczyła dwie sino - czerwone - pręgi na plecach. Głos zamarł jej w krtani, ona cała tak była przerażona napaścią, tak wystraszona, że nie wiedziała, co ma robić: czy krzyczeć o pomoc, czy uciec stąd gdziekolwiek, czy też wreszcie zachować się zgoła biernie? To, co się działo, przechodziło jej imaginację, wykraczało poza zasięg rozumu.

Stała więc na jednym miejscu z oczyma wysadzonymi z orbit przerażeniem, czuła okropny, piekący ból tych dwóch uderzeń, ale głosu nie mogła wydobyć z krtani, która zdawała się być jak gdyby ręką ściśnięta. Ogarnęła ją całą jakaś przedziwna martwica, jakaś bezwładność, która paraliżowała wszelkie ruchy i czynności, przykuwała do miejsca jak rzecz martwą. Jak długo stak stała? Co było potem?

Z tego bezwładu, z tej martwoty wyrwało ją nowe uderzenie niewidzialnego bata czy kańczoga, nowy cios, cios straszniejszy jeszcze od dwóch poprzednich, piekący niby rozpalone żelazo, zdający się ciało od kości odrywać... Wtedy dopiero Lila zdobyła się na rozpaczliwy wysiłek i rzuciła w przestrzeń krzyk straszliwy, krzyk grzmiący jak huk pioruna. Cały dom rozbrzmiał tym niesamowitym krzykiem, rozdzwonił się, rozhuczał od suteryn do poddasza. I wszystko, co tylko żyło w tym domu, porwało się na równe nogi i zasłuchało się w ów krzyk niepojęcie bolesny, niepojęcie przeraźliwy i grzmiący jak huk huraganu walczącego na osiedla ludzkie z przepaści tajemniczej i groźnej.

— Aaaa!... Na pomoc!... Na po-o-mooc!

Pierwsza znalazła się przy Lili matka i na widok straszliwych pręg sino-krwawych na obnażonych plecach córki, zachwiała się i omal nie padła zemdlona. Ale pani Ewa nie była kobietą, która łatwo poddawała się słabościom. Dowiodła tego i tym razem, opanowując się w jednej chwili pod wpływem myśli, że właśnie teraz, że właśnie w takiej chwili nie może



Tancerka Ilse Meudtner w jednej z swoich kreacyj tanecznych p. t. „Pocałunek Rusałki".

stracić głowy, ale przeciwnie — zachować całą przytomność umysłu i trzeźwość.

— Mamo!.. Mamo!...

Lila wyciągnęła ramiona do matki i po chwili padła na pierś kochaną i jedyną na świecie, łkając boleśnie i trzęsąc się z bólu.

— Co tu się stało, dziecko? Kto tu był? — spytała szeptem pani Ewa.

— Nie wiem, nic nie wiem, mamo, nic nie wiem... — odrzekła poprzez łzy Lila, tuląc się do piersi matki coraz mocniej i mocniej.

— Tu ktoś był? — nalegała pani Ewa. — Ktoś, kto tak brutalnie cię skatował...

— Nie wiem, mamo, nie wiem, nic nie wiem...

Lila zaniosła się bolesnym szlochem, a łzy ciekły jej z oczu, niby dwa obfite zdroje i skrapiały kochającą pierś matczyną.

Pani Ewa zaprowadziła córkę do łóżka i ułożyła ją na nim, po czym zadzwoniła na służącą i pokojową. Oba dziewczęta przybiegły prawie jednocześnie i nie mniej zdumione od pani, rozszerzonymi źrenicami wpatrywały się w trzy sino-krwawe pręgi na plecach panienki. Pręgi te nabrzmiały krwią i miały postać wielkich basiorów, biegnących od barek ku środkowi krzyża pacierzowego.

— Przynieście spirytus i zajmicie się natychmiast nacieraniem panienki — rozkazała pani Ewa. — Ja zadzwonię po lekarza.

Dziewczęta zakrzątnęły się zaraz wypełnieniem polecenia, a pani Ewa wyszła do korytarza, gdzie znajdował się telefon i tu dopiero poczuła, jak bardzo wstrząsnął nią ten wypadek tajemniczy i przez swoją tajemniczość groźny. Aż się zachwiała na myśl o potworności tego, co stało się przed chwilą. Mimo woli wsparła się o stolik, bo w oczach nagle się pociemniało. Potem, opanowawszy się z wolna, wzięła książkę telefoniczną i zaczęła mechanicznie, bez wyraźnego celu kogo szuka, przewracać kartki. I stało się, że prawie bezwiednie wzrok jej zatrzymał się na nazwisku Borowicza. Zamrugała powiekami raz i drugi i jednocześnie zaświtała jej zbawcza myśl zatelefonowania do tego człowieka, którego wiedzę lekarską miała już raz możność sprawdzić.

— Może on tu okaże się znowu bardzo pomocnym — przymknęło jej przez myśl, a jednocześnie jakby bolesnym zgrzytem tknęło ją jakieś złe przeczucie, aby nie korzystać tym razem z usług tego dziwnego człowieka o zielonych oczach. — Eh — rzekła w końcu — co mnie może obchodzić kto on zacz, byle jeno pomóc zechciał, byle jeno przyjść zechciał... I po tej decyzji nastawiła tarczę telefonu na numer Borowicza, czekając na zgłoszenie. Dłuższy czas w rezonatorze tuby telefonicznej rozlegały się tylko miarowe, monotonne wyzwania, po chwili i te się urwały, a na przeciwnym końcu linii odezwał się czyjś silny, basowy głos męski:

— Halo!... Halo!...

— Czy to mieszkanie pana doktora Borowicza?

— Tak... Kto mówi?

— Czy pan doktor jest w domu?

— Pan doktor wyjechał z Łodzi dziś wieczorem.

— Wyjechał... dziś wieczorem... jaka szkoda!

— Kto mówi? — dopytywał natarczywy bas po drugiej stronie.

— Skoro pana doktora nie ma, sądzę, że zbędnem jest legitymowanie się — odrzekła pani Ewa i zawiesiła słuchawkę. Przez chwilę stała na jednym miejscu, czując, że naraz głowa kręcić jej się poczyna i szum w niej powstaje. Z pokoju, Lili przez uchylone na korytarz drzwi — dochodziły ciche i bolesne jęki córki. Te ciche kwilenia przywróciły znowu trzeźwość umysłu pani Ewie. Opanowała się w jednej chwili i zdecydowanym ruchem podniosła słuchawkę do ucha. Tym razem telefonowała do starego przyjaciela ich domu doktora Mazurkiewicza. Oznajmiła mu krótko o chorobie Lili i prosiła o natychmiastowe przybycie.

— Zaraz przyjeżdżam — odrzekł na to lekarz.

Do uszu pani Ewy znowu dobiegły ciche kwilenia córki. Poszła do niej, a idąc, czuła jednocześnie, żė jest bezgranicznie wyczerpana tragicznym i tajemniczym wypadkiem, do tego stopnia wyczerpana, że myśli roztrącały się jedna o drugą pod czaszką i tworzyły jakiś niepojęty chaos.

— Liluś, dziecko najmilsze — szepnęła matka, przysiadając na krawędzi łóżka — Liluś, czy bardzo cierpisz?

W odpowiedzi, rozległ się tylko cichy, stłumiony jęk Lili i pani Ewa zobaczyła jak łzy jej ściekają jedna po drugiej na przeczystą biel poduszki. Na ten widok jej samej łzy zakręciły się w oczach, ale nie dopuściła ich na powieki, bo pojmowała jedno doskonale, iż obecnie musi ona być tym bardziej trzeźwa, tym bardziej opanowana.

Pokojowa i służąca maczały raz po raz płaty waty w spirytusie i przykładały je na obolałe miejsca panienki, co zdawało się przynieść jej znaczną ulgę, bo jęki stawały się coraz cichsze i coraz mniej bolesne.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 17 października 1937 r.

8.00 Audycja poranna; 9.00 Regionalna transmisja z Wejherowa; 11.30 II. regionalna transmisja z Wejherowa; 12.03 Poranek symfoniczny; 13.10 „Salon i ulica" — fragment satyryczny; 13.30 Muzyka obiadowa; 14.45 Audycja dla wsi; 15.45 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci; 16.05 Rozstrzygnięcie Wielkiego Letniego Konkursu P. R.; 16.25 Polska kapela ludowa F. Dzierżanowskiego; 16.45 „Anielcia i życie" — powieść mówiona; 17.10 „Anielcia i życie" — powieść mówiona; 17.30 Audycja w 88-mą rocznicę zgonu Fr. Chopina; 18.30 Koncert solistów; 19.35 I. audycja z cyklu „Słynni wirtuozi" (płyty); 22.00 Arie z polskich oper; 22.30 Ostatnie wiadomości dziennika wieczornego.

Poniedziałek, dnia 18 października 1937 r.

6.15 Audycja poranna; 11.15 Audycja dla szkół; 11.40 „Od warsztatu do warsztatu: Co mówi blacharz o swoim zawodzie"; 12.03 Audycja południowa; 15.45 „Z pieśnią po kraju"; 16.15 Orkiestra rozrywkowa (z Łodzi); 17.00 „Galileusz i Newton" — odczyt; 17.15 Koncert solistów; 18.10 Śpiewacy operowi w repertuarze operetkowym (płyty); 18.35 Audycja dla wsi; 19.00 Audycja żołnierska; 19.30 Dyskutujmy: „Czy historia mówi prawdę"; 20.00 Orkiestra mandolinistów „Sempre vivo"; 21.00 Europejski koncert włoski; 22.20 Recital fortepianowy Merete Söderhjelm.

Wtorek, dnia 19 października 1937 r.

6.15 Audycja poranna; 11.15 Audycja dla szkół; 15.45 „Kraj lat dziecinnych" — obrazek z lat dziecinnych Adama Mickiewicza; 16.15 Kwartet salonowy Rozgłośni krakowskiej; 17.00 „Motocyklem na Wystawę Paryską" — pogadanka; 17.15 Recital fortepianowy Marcelego Neumillera; 18.35 Audycja dla wsi; 19.00 „Puławy — salon literacki Czartoryskich" — wiecz. literacki; 19.40 Audycja konkursowa; 20.00 Otwarcie nowego gmachu Rozgłośni Katowickiej; 21.00 Koncert orkiestry symfonicznej RP; 22.00 Nowa siedziba rozgłośni Katowickiej — reportaż; 22.05 Koncert Małej orkiestry P. R.

Środa, dnia 20 października 1937 r.

6.15 Audycja poranna; 11.15 Audycja dla szkół; 11.40 Marsze Edwarda Griega — płyty 15.45 Henryk Morton Stanley — audycja dla dzieci 16.15 Z muzyki angielskiej — koncert w wyk. Ork. A. Hermana 17.00 Piechota na nowoczesnym polu walki — odczyt 17.15 „Jesienią" — koncert chóru solistów 18.10 Melodie filmowe w wyk. zespołów salonowych 18.35 Audycja dla wsi 19.20 Pieśni Aleksandra Zarzyckiego 20.00 W rytmie tanga i rumby (płyty) 21.00 Koncert chopinowski 21.45 „Piękno mowy polskiej" — kwadrans poetycki 22.00 Koncert popularny.

Czwartek, dnia 21 października 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Polski taniec artystyczny — poranek muzyczny 11.40 Muzyka na dwa fortepiany (płyty) 15.45 Wędrówki muzyczne (z Wilna) 16.15 Mała Orkiestra P.R. 17.15 Koncert solistów 18.25 Muzyka z płyt 18.35 Audycja dla młodzieży wiejskiej 19.00 •Słuchowisko: „Uczciwy spadkobierca" 20.00 Koncert rozrywkowy 21.30 Audycja poświęcona pamięci Gustawa Daniłowskiego 22.00 Koncert kameralny.

Piątek, dnia 22 października 1937 r.

6.15 Audycja poranna; 11.15 Audycja dla szkół; 11.40 Harfa i flet (płyty) 15.45 „Białe chusteczki" — bajka dla dzieci młodszych 16.15 Wesoło i sentymentalnie — koncert 17.00 Kształcenie pracowników społecznych — odczyt 17.15 Koncert solistów 18.10 Z egzotycznych suit (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Komedia Fredry „Dożywocie" 20.15 Koncert symfoniczny z Filharmonii Warsz.

Sobota, dnia 23 października 1937 r.

6.15 Audycja poranna; 11.15 Audycja dla szkół; 11.40 Tenor Georges Thill w duecie i solo (płyty) 15.45 Słuchowisko dla dzieci pt. „W pustyni i w puszczy" 16.15 Koncert orkiestry wojskowej 17.00 Jedyna miłość Juliusza Słowackiego — odczyt 17.15 Recital skrzypcowy Idy Handlówny 18.15 Siostry Trix śpiewają (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 19.00 Audycja dla Polaków zagranicą 20.00 Koncert mandolinistów 21.45 „Zbawca" — skecz 22.00 Koncert Orkiestry Polskiego Radia

HUMOR

TRAFNA PRZEPOWIEDNIA

— Trudno, co chcecie mówcie, ja jednak wierzę w przepowiednie. Na przykład cyganka przepowiedziała mi, że będę tragarzem.

— No widzisz, a jesteś naczelnikiem wydziału.

— Tak, ale ożeniłem się.

SŁUSZNA ZAZDROŚĆ

Do znanego krytyka teatralnego podchodzi nagle pewien aktor i obcesowo pyta:

— Przepraszam, to pan napisał w ostatniej recenzji, że moja żona nie ma talentu i powinna opuścić scenę na zawsze?

Krytyk bąknął z zażenowaniem:

— Tak... to ja napisałem...

— Jakże panu zazdroszczę — zawołał aktor. Żebym to ja mógł jej powiedzieć!...

CO JESZCZE MOŻNA

— Co pan powie o obecnej sytuacji w Rosji — zapytał pewien dziennikarz zagraniczny w Moskwie urzędnika GPU.

— Nic nie powiem! — brzmiała odpowiedź — to chyba można jeszcze powiedzieć.

W PAŁACU KRÓLEWSKIM

— Jakiej barwy jest koń? — pyta nauczyciel powierzonego swej opiece małego książątka.

— Zielonej!

— Doskonale! Książę widocznie miał na myśli konika polnego.

DYPLOMACJA

Staś (do zagniewanej na niego matki): — Tylko mnie nie uderz, mamusiu. Wiesz, jak strasznie babcię serce boli, gdy się dowie, że dostałem bicie!

NIE WIEDZIAŁ

W jakim celu oskarżony skradł świadkowi zegarek?

— Panie sędzio, nie kradłem, chciałem tylko dowiedzieć się, ile godzin będę poza domem.

— Jeśli chodzi o czas, mogę oskarżonego poinformować: sześć miesięcy.

AROGANT

— Ja panu powiadam, co ten hrabia Fajtalski to wielki arogant!

— Ależ co znowu, panie Rubelmacher!... To bardzo miły i uprzejmy człowiek.

— On jest arogant, ja to panu mówię: on otrząsa popiół z mojego 10-złotowego cygara na mój tysiąc - złotowy dywan.

WRAŻENIA Z TEATRU

Pani Maria była z przyjaciółką w teatrze. Po powrocie do domu pyta ją mąż:

— Jakże się bawiłaś?

— Z początku bardzo dobrze.

— A później?

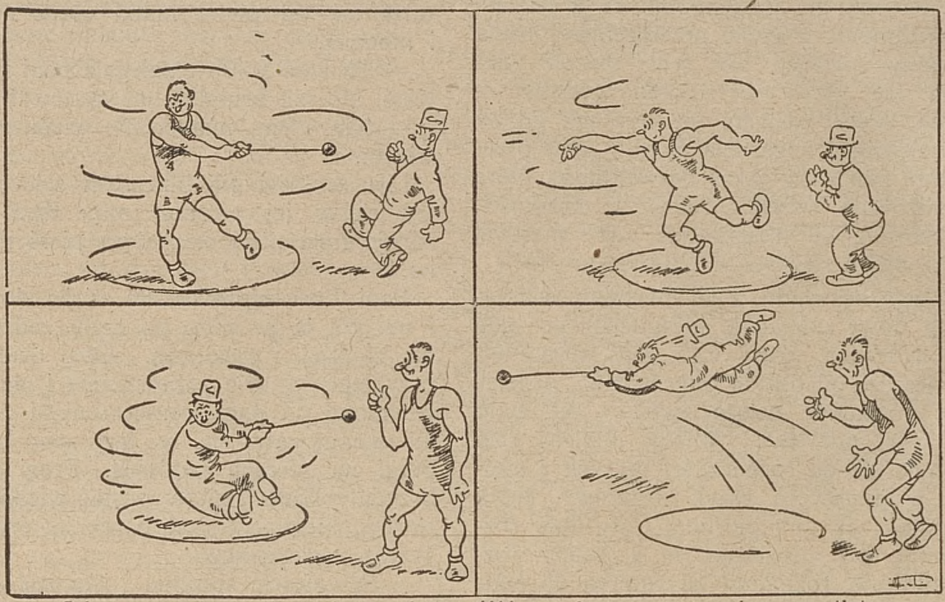
— Później kilka osób zwróciło nam uwagę, że w czasie przedstawienia nie można rozmawiać...

INTELIGENCJA GÓRĄ

Pani M. w Katowicach skarżyła się lekarzowi K.

— Panie doktorze, ja mam coś takiego... słowo daję, ja już nie wiem co! Okropne kongresie biją mi do głowy i od tygodnia już nie miałam absolucji. Czy nie będzie to może inflorencja?

— O... niech pani sobie nie robi z tego wielkich szkrofułów! — odpowiedział lekarz. — Idź pani do hipoteki św. Jana, każ pani sobie dać oleum rinocerosum, a skutek będzie niezawodnie stołeczny.



Gdy przygodny sportowiec zechce pójść o lepsze z zawodowym atletą.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych, 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie